

DUŻYFORMAT



FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bartosz Józefiak wśród fanów malucha

GDY CAŁY ŚWIAT ZWALNIA

Co się wydarzyło w Zakładzie Karnym w Barczewie

TRZEBA TO wypalić zelazem

Głowę owijają ci ręcznikiem, polewają wodą i w kółko powtarzają: „Rozumiesz już? Rozumiesz?!”. W końcu krzyczysz, że rozumiesz

Danny wypowiada te słowa, leżąc na podłodze swojego mieszkania. Chwilę wcześniej wstał od kuchennego stołu, żeby pokazać, jak to było. Jest koniec kwietnia 2023 roku. W grudniu wyszedł z położonego blisko Olsztyna więzienia w Barczewie. Zanim wyszedł, o rozmowę poprosił go pracownik Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur. Dwa dni później 26-latek napisał na karteczce i wsunął ją do Biblii: „Ja, niżej podpisany, zapewniam, iż nigdy bym nie popełnił samobójstwa. Nie jestem egoistą i za bardzo kocham swoją konkubinę oraz nasze dzieci. Całe życie jeszcze przed nami i krzywdy bym sobie umyślnie nigdy nie zrobił. Ufam Bogu oraz wiem, że wszystko będzie dobrze”.
Trzy miesiące później media podały, że Barczewo to „polskie Guantanamo”.

WYSOKA OCENA

Działający przy Rzeczniku Praw Obywatelskich zespół mechanizmu prewencji ma za zadanie monitorować miejsca odosobnienia. Czyli takie, gdzie ludzie przebywają niezależnie od swojej woli. Z wizyt powstają publiczne raporty i zalecenia. Zakład Karny w Barczewie – istniejący od 1812 roku i znajdujący się na terenie byłych ogrodów klasztornych zakonu franciszkanów – wcześniej sprawdzany był dwukrotnie. Ale tylko raz osobiście. Było to w roku 2009.

W raporcie z tamtej wizytacji mowa głównie o zniszczonych i zawilgoconych celach. Osadzeni skarżyli się na współwięźniów i zbyt rzadkie korzystanie z łaźni (raz w tygodniu). Albo na przeludnienie. W styczniu 2009 roku w Barczewie przebywało 728 mężczyzn: skazani po raz pierwszy, recydywiści i 69 tymczasowo aresztowanych.

Wnioski końcowe raportu: „Wysoko należy ocenić atmosferę panującą w Zakładzie, zwłaszcza w relacjach funkcjonariusze – osadzeni”.

Druga kontrola odbyła się 11 lat później, w czerwcu 2020 roku, za pośrednictwem komunikatora internetowego Skype.

– Pandemia urwała nam możliwość bezpośrednich wizytacji – opowiada Przemysław Kazimirski, szef Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur. – By nie porzucić na ten czas osób pozbawionych wolności, wymyśliłem formę zdalną.

Procedura: KMPT wybiera placówkę, pisze do dyrekcji z prośbą o przeprowadzenie wizytacji online, przedstawia warunki. Jeden z nich mówi, że jeśli losowo wybrany osadzony nie chce rozmawiać, musi napisać oświadczenie i je osobiście pokazać do kamery. Chodzi o to, by nie polegać wyłącznie na informacjach przekazanych przez funkcjonariuszy. Wizytatorzy rozmawiają wtedy z 20 więźniami z każdego oddziału mieszkalnego. Odnotowują tylko pojedyncze sygnały: strażnik niewłaściwie się zwrócił, inny szturchnął na korytarzu. I zrozumienie dla pandemicznych obostrzeń.

– Jak pan dziś to tłumaczy? – pytam Kazimirskiego, rozmawiamy w jego gabinecie na 29. piętrze biurowca Intraco, w latach 70. – najwyższego w Warszawie.

– Niedoskonałością procedury – odpowiada. – Rozmowa online ogranicza, krępuje. Nie mamy też pewności, czy osadzeni rzeczywiście byli sami. Potwierdzali, ale czy tak było? Wystarczy, że drzwi do pokoju, z którego się z nami łączyli, były uchylone.

ZAGROŻENIE BUNTEM

Danny, syn Polki i Niemca, odbywający trzyletnią karę więzienia za rozbój, do Barczewa zostaje przewieziony z zakładu w Nowogardzie w piątek, 14 października 2022 roku. Bo nieomal wszczął tam bunt.

Miesiąc wcześniej weszły w życie nowe przepisy. Zlikwidowano przywileje w korzystaniu przez skazanych z opieki zdrowotnej. Określono, ile razy uwięziona osoba może korzystać z telefonu (co najmniej raz w tygodniu do rozmowy z adwokatem i co najmniej raz w tygodniu na inne potrzeby). W ocenie Ministerstwa Sprawiedliwości przepis ten chroni osoby pozbawione wolności, bo wcześniej minimalnych gwarancji nie było. Ale większość dyrekcji więzień i aresztów zapis potraktowała dosłownie. Jeden dziesięćminutowy telefon raz na siedem dni. Wcześniej czas rozmowy nie mógł być dłuższy niż pięć minut, ale można było dzwonić codziennie.

Nowe przepisy mają też ograniczyć składanie absurdalnych skarg przez więźniów. Np. na posiłek sprzed sześciu lat. Jeden z osadzonych w ciągu pół roku wysłał ich tyle, że same znaczki pocztowe, za które płaciła Służba Więzienna, kosztowały 26 tys. zł.

Na początku października spotykam się z policyjnym informatorem. Pokazuje mi korespondencję z wysokim rangą urzędnikiem. Wynika z niej, że ministerstwo obawia się buntów. Wszyscy są w stanie podwyższonej gotowości, a po zakładach karnych roznosi się informacja, że kto będzie stawiał opór, może mieć problemy – np. z przedterminowym zwolnieniem. Wcześniej dochodzi do głośnego incydentu pod aresztem w Warszawie-Białolece. Zbiera się kilkudziesięciu pseudokibiców, wznoszą okrzyki, odpalają petardy. Przyjeżdża policja. Trzy osoby zostają zatrzymane, ponad dwadzieścia zostaje wylegitymowanych. Pozostali uciekają.

Ale osadzeni, jeśli protestują, to głodowo. Prowodrydy dyrektorzy jednostek szybko przenoszą do innych placówek. Danny – na niemożność porozmawiania z narzeczoną – reaguje krzykiem. Wkrótce w Nowogardzie go już nie ma.

W Barczewie, choć zostało mu dwa i pół miesiąca do wyjścia na wolność, dostaje „N”. „Enka” znaczy niebezpieczny. W celi przebywa sam, nad głową wisi mu monitoring. Jeśli spacer, to w pojedynkę i pod wzmocnionym dozorem. Porusza się w czerwonym drelichu.

Jak mi potem opowie, po przyjeździe i wyjściu z więziennego busa poskarżył się na bolące kolano i zażądał kul łokciowych. „To nie sanatorium, nie będziesz nam tu, kurwa, symulował”. Strażnicy prowadzą go na piętro budynku, do niemonitorowanego ambulatorium. A tam – jak twierdzi Danny – podcinają mu nogi i wymierzają kilka kopnięć.

Wersja więzienia: został zabrany na rutynowe badanie na obecność alkoholu i narkotyków. Trwało ono pięć minut. Reszta to zmyślenia.

MOKRY DRELICH

Dwa dni później, w niedzielę, 16 października, Danny domaga się spaceru, którego więzienie ma mu odmawiać (według zakładu karnego ponownie skarży się na bolące kolano). Danny prosi do siebie dowódcę zmiany. Chce złożyć skargę.

O godzinie 12.20 przychodzą po niego oddziały ze strażnikiem. Pięć minut później znów prowadzą Dannyego do ambulatorium. Ma kajdanki na rękach i nogach, pomiędzy nimi łańcuch. Drzwi ambulatorium otwierają się o godzinie 12.35. W środku na Dannyego czekają ratownik medyczny, wychowawca i dowódca zmiany. W sumie – oprócz osadzonego – w pomieszczeniu znajduje się pięciu mężczyzn. O 12.47 drzwi ambulatorium ponownie zostają otwarte. Trzy minuty później Danny jest już w celi mieszkalnej.

Podczas pobytu w Barczewie ma długie włosy, które spina gumką na czubku głowy. Tak też jest uczesany tego dnia. Ale kiedy wychodzi z ambulatorium, jego włosy są rozczochrane i mokre. Podobnie drelich, szczególnie prawa część. Po powrocie do celi mieszkalnej Danny zdejmuje katanę, spodnie, następnie czarną koszulkę. Wyżyma ją i rozwiesza, by wyschła.

Zakład karny skomentuje potem: osadzony chciał przemycić twarz. Był skuty, to się pochlapał.

TRZECIA KONTROLA

Zespół mechanizmu prewencji trzecią kontrolę w Barczewie rozpoczyna w poniedziałek, 17 października 2022 roku. Wybierają to więzienie, bo chcą – po wizytacji online – wrócić tam osobiście. Tym razem trójka przedstawicieli RPO wchodzi bez uprzedzenia, prosi o dostęp do listy osadzonych, dokumentów.

– Pierwsze lampki zapaliły nam się już w trakcie rozmowy z zastępczynią dyrektora – opowiada Przemysław Kazimirski, obecny wówczas w Barczewie.

Bo powiedziała, że więźniowie nowe przepisy, dzięki akcji informacyjnej, przyjęli dobrze. A gdy wizytatorzy poprosili o listę przypadków zastosowania środków przymusu bezpośredniego w latach 2021-22 (każdy musi być odnotowywany), okazało się, że w Barczewie – przez blisko dwa lata – ani razu nie było takiej potrzeby. Wyjaśnienie dyrekcji w Barczewie: więźniowie są w pełni zdyscyplinowani.

Kazimirski prowadzi wizytacje od 2003 roku. Zespół mechanizmu prewencji w Biurze RPO powstał pięć lat później. Do dziś przeprowadzono 1397 kontroli, w tym 265 w więzieniach i aresztach. Z taką sytuacją jak w Barczewie, a jest to zakład karny głównie dla recydywistów i więźniów niebezpiecznych, spotkał się po raz pierwszy.

Choć można znaleźć zbliżone statystyki. W latach 2021-22 w Areszcie Śledczym w Lublinie, jednostce penitencjarnej większej od Barczewa, środki przy-

KATARZYNA
WŁODKOWSKA





RYŚ: BARBARA NIEWIADOMSKA

musu, czyli kaftan, pałkę czy zwykłą obronę, zastosowano dwa razy. We Włocławku – jeden raz.

NAJLEPSZE WIĘZIENIE

Po otrzymaniu listy osadzonych wizytatorzy – razem z Kazimirskim w Barczewie są Justyna Józwiak i Justyna Zarecka – idą do udostępnionego im pokoju. Do pierwszych rozmów typują osoby z grup wrażliwych: powyżej 65. roku życia, z niepełnosprawnościami, tymczasowo aresztowanych. Niebezpiecznych czy będących ostatnio za karę w celi izolacyjnej.

Kazimirski idzie na oddział dla niebezpiecznych, Józwiak i Zarecka – obejrzą pomieszczenia mieszkalne. Barczewo ma wtedy 22 cele 16-osobowe

i jedną 15-osobową. To też wyjątek w skali kraju. Przedstawicielki RPO wizytują wszystkie.

– Wchodzimy, przed piętrowymi pryzkami szesnastu silnych mężczyzn – relacjonuje Justyna Zarecka, w mechanizmie prewencji od pięciu lat. – Przedstawiamy się i pytamy, czy chcą o czymś porozmawiać, coś nam zgłosić. A oni spuszczaają głowy. Jeden stwierdza: „W życiu nie byłem w lepszym więzieniu”.

Pierwszą indywidualną rozmowę przeprowadzają z transplciową kobietą. Za kraty trafiła w roku 2013 w wieku 21 lat, od 2018 pozostaje w procesie korekty płci. Przebywa w zakładach dla mężczyzn, jedno z więzień wstrzymało jej terapię hormonalną. Barczewo jest 13. z kolei. Też, jak Danny, trafia na oddział dla niebezpiecznych. Jak twierdzi placówka, izolowali transplciową osadzoną, dziś przebywającą już w innym zakładzie, dla jej bezpieczeństwa.

Druga rozmowa odbywa się z obywatelem Chin (już na wolności). Mężczyzna nie mówi ani po polsku, ani po angielsku. Strażnicy porozumiewają się z nim za pomocą przenośnego tłumacza. Wizytatorzy biorą urządzenie, zadają pytanie: „Jak długo pan tu jest?”. Tłumacz tłumaczy, osadzony czyta tekst, odpowiada: „Lampka stoi w rogu pokoju”.

– Narzędzie tłumaczyło od rzeczy – opowiada Justyna Józwiak, w KMPT od początku istnienia. – Poprosiliśmy o akta mężczyzny. A tam podpisane oświadczenie w języku polskim, że rezygnuje z odbywania kary w trybie półotwartym, czyli z całej masy przywilejów, jak korzystanie z własnej odzieży czy otwartych w porze dziennej cel. W innej jednostce założono mu kartę „zagrożonego samobójstwem”. Argument? Strażnicy nie są w stanie się z osadzonym komunikować. Taka kategoria oznacza do-

datkowe środki bezpieczeństwa, więźni nie może przebywać sam, ciągle monitoring.

WIĘZIEN Z CELI NR 13

Przemysław Kazimirski typuje trzech z dwunastu więźniów niebezpiecznych. W pokoju do rozmów dzieli ich ściana z małym oknem. Mężczyźni są rozkuci, Kazimirski informuje, że spotkanie jest poufne. Nikt nie ma prawa wypytywać o jego przebieg. Pierwszych dwóch opowiada, że nie doświadczali przemocowych zachowań, „jak się nie wychylasz, masz spokój”. Ale jeden dodaje: „Niech pan pogada z tym spod trzynastki”. Więzień spod trzynastki to Danny.

Spotykają się dzień później, drugiego dnia wizytacji. Dyrektor Kazimirski pyta o warunki, docieka, jak Danny trafił do zakładu. W końcu prosi o ocenę traktowania. Danny ścisza głos: – Nie jestem pewien, kim pan jest.

Kazimirski – po raz pierwszy w karierze – wyciąga legitymację i pokazuje, by poświadczyć, że naprawdę jest osobą spoza ministerstwa i Służby Więziennej.

Danny: – Chyba Bóg mi pana zesłał.

„DAWAĆ GO!”

Danny opowiada Kazimirskiemu o incydencie w dniu przyjazdu i późniejszym w ambulatorium. Mówiąc o tym dniu, używa terminu „waterboarding”. To tortura polegająca na wywołaniu wrażenia tonięcia i duszenia się u ofiary. Była stosowana w tajnych więzieniach CIA rozlokowanych na terenie Polski. Jest zabroniona przez prawo międzynarodowe. Ale w polskim prawie karnym tortur nie ma. Choć Rzecznik Praw Obywatelskich występował do kolejnych ministrów sprawiedliwości o uwzględnienie ich definicji w kodeksie.

Danny zademonstruje mi wydarzenie z ambulatorium dwukrotnie – online i w Szczecinie, kiedy do niego przyjadę. Pozwala nagrywać telefonem.

– Gdy weszliśmy, ratownik medyczny, w prywatnych ciuchach, siedział na łóżku. Po skosie stał dowódca zmiany, nogi szeroko rozstawione, przed nim – na podłodze – poduszka. Za nim wychowawca, też po cywilu. Na rozkaz dowódcy: „Dawać go”, strażnicy powalili mnie na podłogę. Leżałem na lewym boku, skute ręce i nogi. Głowa na poduszce. Jeden funkcjonariusz kolanem przycisnął szyję. Drugi docisnął nogi. Krzychałem: „Aua, aua, moje kolano!”. Na co ten zaczął mi je wykręcać. Gdy tak leżałem, podszedł ratownik. Złapał za kark i zaczął szarpać. Dowódca zmiany nachylił się nade mną z ręcznikiem, owinęli go we dwóch wokół mojej twarzy. Przekreśliли moją twarz do pionu, zaczęli polewać wodą. Woda dostawała się do nozdrzy i ust. Szarpałem się, darłem. Przerywali, dowódca pytał: „Zrozumiałeś? Zrozumiałeś, kurwo?!”. Po którymś razie powiedziałem, że zrozumiałem. Dostałem jeszcze kilka kopów w brzuch. Dowódca: „Dobra, puśćcie go”.

Kazimirski robi Danny'emu zdjęcia. Więzień ma zasinienie pod lewym okiem, otarcia po kajdankach na rękach i nogach oraz zadrapania na plecach.

TAJNE WIĘZIENIA CIA

W czasie gdy Kazimirski rozmawia z Dannyem, Józwiak i Zarecka prowadzą rozmowy indywidualne. Więźniowie mówią niechętnie, jeden martwi się, że jeśli pozostanie w pomieszczeniu zbyt długo, strażnicy domyślą się, że się skarży. Ale udaje im się dowiedzieć m.in. o sytuacji, gdy strażnicy wrzucili do celi pobitego skazańca. Miał sine nogi, stopy, „nie mógł się utrzymać”. Przyznał kolegom, że został pobity przez funkcjonariuszy działu ochrony. Po kilku dniach strażnicy mieli próbować oskarżyć o to pobicie jego współosadzonych.

Przedstawicielki RPO dowiadują się też o pomieszczeniu, w którym bije się skazanych pod pretekstem wyjścia do lekarza. A także: „Gdy chcą nas zastraszyć, mówią: »Zrobimy z wami to, co zrobił dyrektor w Sztumie«”.

W październiku 2011 roku Andrzej G., ówczesny dyrektor Zakładu Karnego w Sztumie, zabił w celi więźnia słynącego z licznych skarg. Biegli psychiatrzy uznali potem, że G. był niebezpieczny. Jednocześnie orzekli, że nie stanowi zagrożenia dla innych ludzi, a jego czyn miał charakter incydentalny. I nie musi się leczyć w warunkach szpitalnych. W marcu 2012 roku został zwolniony z aresztu.

Śledczy z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku w ramach tego samego postępowania badali, czy

w sztumskim zakładzie doszło do nieprawidłowości w zachowaniu Służby Więziennej. Bo dlaczego dyrektor, w dodatku w niedzielę, znalazł się w celi z nożem w dłoni? Drugim wątkiem było jedenaście skarg na złe traktowanie osadzonych. Wszystkie wpłynęły do prokuratury już po tragedii. Śledczy nieprawidłowości się nie dopatrzeli.

Józwiak, Kazimirski i Zarecka na koniec dnia spotykają się w udoświadczonym im pokoju w barczewskim więzieniu. Wizytatorki relacjonują, że także usłyszały od więźniów o podtapianiu. Choć ich rozmówcy sami tego nie doświadczali. Ale dokładnie to opisali. Skąd wiedzieli? Od tych, którzy to przeszli. Miało się to dziać nie tylko w ambulatorium.

Zarecka: – Mówili o pokoju koordynatorów działu ochrony i o świetlicach, które w trakcie naszej wizytacji też nie były monitorowane.

Na koniec opowiadają, co trafi później do raportu (bo rolą wizytatorów jest zrelacjonowanie tego, o czym opowiedzieli osadzeni), o zasłyszonym przypadku pobicia. U osadzonego w trakcie miało dojść do zatrzymania akcji serca. Strażnicy nie wezwali pogotowia, a reanimację przeprowadzili samodzielnie. Sytuacja zaskakująca, bo w przypadku zatrzymania pracy serca poza warunkami szpitalnymi szansę na przeżycie ma jedna osoba na dziesięć. I to pod warunkiem, że szybko trafi do jakiejś placówki. A nie z powrotem do celi mieszkalnej.

Po publikacji raportu z Barczewa „reanimowany” mężczyzna zgłosił się do prokuratury. Opowieść o reanimacji, jak ustale, była przesadzona, bo z trzeciej ręki. Ale miało miejsce zdarzenie, które prokuratura wyjaśnia. Byli osadzeni zostali już przesłuchani.

TO NIE JEST CZŁOWIEK

Danny opowiada Kazimirskiemu o podtapianiu, ale nie upoważnia do zajęcia się sprawą. Dziś przyznaje mi, że kalkulował: „Po co mi to? W grudniu wychodzę”. Kazimirski uprzedził go: jeśli RPO zgłosi sprawę do prokuratury, zakład dowie się, od kogo to wyszło.

– Niech pan się zastanowi, jutro wróć – dodał.

Następnego dnia – trwa trzeci dzień kontroli – dyrektor Przemysław Kazimirski prosi zakład w Barczewie o wgląd w monitoring. Z nagraniem zapoznaje się w pomieszczeniu kierownika działu ochrony. Jest z nim strażnik.

– Widzi pan? – Kazimirski pokazuje palcem przemoczonego Danny'ego, wychodzącego z ambulatorium. – I po co aż pięciu strażników?

– Rzeczywiście dziwne. Trzeba to wyjaśnić.

Zanim Kazimirski zapozna się z nagraniem, przeprowadza kolejne rozmowy z osadzonymi. W mniej więcej setnej minucie pracy wciska przycisk przywołujący strażnika. Chce wyjść do toalety, ale nikt nie reaguje. Macha więc rękoma do kamery monitoringu (ma wyłączony dźwięk). Ponownie wciska przycisk – łącznie aż osiem razy. Do drzwi podchodzi więzień psychologiczka. Tłumaczy, że Kazimirski teraz wyjść nie może. Bo oddziałowy wydaje posiłki. Kazimirski oddaje moc w narożniku pomieszczenia.

– Być może chcieli mnie upokorzyć, zdenerwować – komentuje dziś. – Żeby nie obejrzał nagrania. To zrządzenie losu, że akurat w tych dniach przyjechałszy z wizytacją. Tydzień później nagranie by się skasowało. Podobnie było w Rykach. Gdybyśmy się niespodziewanie nie pojawili i nie udokumentowali pobicia, byłoby słowo przeciwko słowu.

22 sierpnia 2018 roku zespół KMPT z niezapowiedzianą wizytacją pojawił się w Pomieszczeniu dla Osób Zatrzymanych w Komendzie Powiatowej Policji w Rykach (woj. lubelskie). Spotkania zaczęły od osób zatrzymanych. Aresztowany był jeden, ale – jak stwierdzili mundurowi – „nie jest to w ogóle człowiek”. Chodziło o to, że wyrwał gwoździem swastykę na grobie byłego policjanta. Zastępca komendanta przekonywał, że zatrzymany jest „niemową”. Ale rozmowa się odbyła. I okazało się, że 70-latek został pobity, a w akcji uczestniczył także wiceszef jednostki. Mężczyzna w okolicach szyi miał zaschniętą krew, zaczerwienienia po obu stronach żuchwy. Wykręcony palec. A w protokole przyjęcia do izby zatrzymania znajdowała się adnotacja, że 70-latek w dniu zatrzymania nie miał żadnych widocznych obrażeń.

SFAŁSZOWANA KSIĘGA

Trzeciego dnia wizytacji w Barczewie rozmowy z więźniami prowadzi też Józwiak i Zarecka. Tym razem dowiadują się o zastraszaniu, biciu, represjach. A także, że jeden z ich poprzednich rozmówców dzień później został zabrany do pokoju koordynatorów działu ochrony. Pomieszczenie znajduje się w piwnicy

i także nie jest monitorowane. Strażników interesowało, o co przedstawicielki RPO pytały. I co usłyszały.

– Mężczyzna opisał to pomieszczenie, więc musiał tam być – mówi Justyna Zarecka. – Opowiadał zdenerwowany. Poprosiliśmy zakład o księgę ruchu osadzonych. Zapisuje się w niej, kto i kiedy wyszedł z celi, poszedł na spacer, został przetransportowany. Byliśmy przekonane, że nic tam nie znajdziemy.

Wyjście z celi zostało jednak odnotowane. Tylko napisano, że mężczyzna był nie w pokoju koordynatorów, lecz w ambulatorium. Wizytatorki poszły tam i dowiedziały się, że tego osadzonego w tym dniu w ambulatorium nie było. – Jestem tu od rana – zapewniła kierowniczka. – Widziałabym przecież.

Wtedy odzywa się strażnik, który towarzyszy kobietom, gdy przemieszczają się po barczewskim zakładzie: – Ale wiedzą panie, że więźniowie kłamią?

Po obejrzeniu nagrania Kazimirski znów spotyka się z Dannyem. A ten podpisuje oświadczenie, w którym wyraża zgodę na podjęcie sprawy przez Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich. To tego dnia, już w celi, pisze: „zapewniam, iż nigdy bym nie popełnił samobójstwa”. A karteczkę wsuwa do Biblii.

7 listopada 2022 roku do Prokuratury Rejonowej w Olsztynie, o czym Barczewo zostaje poinformowane, trafia zawiadomienie o podejrzeniu stosowania tortur przez funkcjonariuszy więzienia. Osiem dni później, w ramach obchodów Święta Niepodległości, 64 z nich otrzymuje od dyrektora awanse.

Czwarty dzień wizytacji jest ostatnim. Wtedy kontrolerzy spotykają się z dyrektorem więzienia, pułkownikiem Markiem Kulwickim. Oznajmia: – Czekam na raport, na pewno się odniosę.

Niecały miesiąc przed jego publikacją pracownicy mechanizmu prewencji prowadzą kolejną wizytację. Tym razem w Areszcie dla Osadzonych w Przemyśle. Zaskoczenie: jeden z osadzonych, choć sprawa nie jest wtedy jeszcze medialna, pytany o warunki, zaczyna opowiadać nie o Przemyśle, ale o Barczewie.

To miało się wydarzyć w czerwcu 2022. Jak opisał, najpierw popchnęli go na ścianę i wykręcili ręce. Następnie dwóch strażników pociągnęło go za nogi. Upadł brzuchem do ziemi. Przeciągnęli więźnia po podłodze, ucisnęli kolanem kark. Bili po głowie, potem unieśli za nogi do góry. Jeden wlał do czarnej worka na śmieci wodę, pozostali podnieśli jego głowę do góry, założyli worek. Stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, położyli go na boku i jeszcze polewali wodą. Mężczyzna, opowiadając, płakał.

Do incydentu miało dojść, bo osadzony spał się ze strażnikami. Nie chcieli mu dać pilota do dekodera.

GUANTANAMO W BARCZEWIE

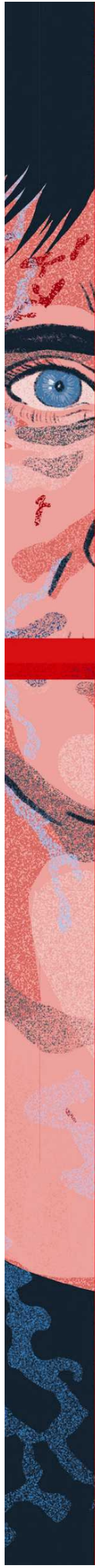
Raport ukazuje się 17 stycznia i odbija głośnym echem w mediach. Tytuły: „Guantanamo w Barczewie”. „Tortury w polskim więzieniu”. Ministerstwo Sprawiedliwości informuje dziennikarzy, że Jacek Kitliński, dyrektor generalny Służby Więziennej, zlecił przeprowadzenie w tej jednostce kontroli. I dodaje, że Barczewo podlega regularnym wizytacjom. Dotąd nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości.

Zakłady karne są kontrolowane przez sądy penitencjarne. Sędzia może mieć wgląd we wszystko, a podczas wizytacji – rozmawiać, z kim chce. Przeanalizowałam trzy ostatnie w Barczewie. Pierwsza miała miejsce w maju 2021 roku. Dwie kolejne w lutym br.

W 2021 roku – w związku z koronawirusem – sędzia Piotr Mądry, były wiceprezes olsztyńskiego sądu okręgowego, zrezygnował ze spotkania z więźniami. Opinię oparł na oględzinach niektórych pomieszczeń, przejrzeniu akt osobowych i informacjach przekazanych przez kierownictwo zakładu. Ocena pozytywna. I bez zaleceń pokontrolnych. Ani wzmianki o tym, że w więzieniu znajdują się wówczas aż 22 cele 16-osobowe. Jak poda później Justyna Józwiak, raport składa się z powklejanych notatek kierowników poszczególnych więziennych działów. Wie to, bo Biuro RPO też dysponuje takimi notatkami.

6 lutego 2023 roku, po opublikowaniu raportu RPO i wrzawie w mediach, do Barczewa pojechał ten sam sędzia. Odwiedził każdy oddział. Zapoznał się z 79 ubiegłorocznymi skargami na niewłaściwe traktowanie (wszystkich było 260). Porozmawiał na osobności z częścią osadzonych. I dowiedział się, że latem ub.r. jeden z nich słyszał odgłosy bicia dobiegające ze świetlicy. Ktoś krzyczał, żeby przestali, bo go zabiją. Dwie inne osoby – że ma przestać pisać skargi.

Więźniowie opowiedzieli o uderzeniach za podniesienie głosu albo zbyt głośne odłożenie słuchawki telefonu. Duszeniu i podtapianiu skazanego, który wyszedł na wolność w 2019 lub 2020 roku. Kolejny osadzony powiedział o pobiciu sprzed kilku tygodni. Inny podał, że wiosną 2022 strażnicy założyli mu kaj-



danki, położyli twarzą do podłogi i uderzali pięściami po nerkach. Potem zakryli mu twarz rękami, nogi podnieśli do góry. Mieli mówić: „Pokażemy ci ruskie więzienie”. W jednej z cel skazani powiedzieli, że na pytania odpowiedzą po zakończeniu odsiadki.

Cytat ze sprawozdania: „Częstym procederem przed widzeniami ma być rozbieranie skazanych, aby sprawdzić, czy w czasie spotkania nie chcą przekazać osobom ich odwiedzającym jakichś skarg”. Jeden z osadzonych słyszał, że kogoś pobito w ambulatorium za to, że idąc na widzenie, miał ukrytą w majtkach korespondencję do urzędów. Drugi skazany zrelacjonował, że w 2017 lub 2018 roku, kiedy odwieziono go do Barczewa z badań lekarskich, na korytarzu dostał od dowódcy zmiany kilka razy w tył głowy. Był też kopnięty pod łydka. Miało na to patrzeć kilku innych funkcjonariuszy.

Kolejny mężczyzna oświadczył, że olsztyńska prokuratura prowadziła kilka postępowań przygotowawczych, co było następstwem pisanych przez niego zawiadomień. Miały one dotyczyć pobicia go przez funkcjonariuszy, lecz zostały prawomocnie umorzono. Pod koniec ubiegłego roku znowu miał zostać pobity przez inspektora ochrony, który kopnął go w głowę. A dwaj inni strażnicy chwycili go za nogi oraz ręce i rzucili na górne łóżko.

Sędzia wizytację zakończył zawiadomieniem do prokuratury.

Tydzień później, decyzją Michała Lasoty, prezesa Sądu Okręgowego w Olsztynie i nominata ministra Zbigniewa Ziobry, do Barczewa – na kontrolę uzupełniającą – pojechało troje innych sędziów – Cecylia Kotfica, Agnieszka Śmiecińska i ponownie Piotr Mądry. I stwierdzili, że poprzedni wizytator, czyli sędzia Mądry, przekroczył swoje uprawnienia. Bo to nie on ma decydować, co dalej ze skargami, jak mówić rozporządzenie ministra sprawiedliwości, ale dyrektor zakładu czy szefostwo Służby Więziennej.

By wyjaśnić, czy w Barczewie wszystko jest w porządku, przeanalizowali dokumenty, składane skargi na niewłaściwe traktowanie (Służba Więzienna wszystkie uznawała za niezasadne), porozmawiali z dyrektorem, dwoma kierownikami i młodszym inspektorem ochrony. I ustalili, że „nie ma podstaw do formułowania szczególnych zaleceń”. Wysunęli tezę: kontrola zespołu RPO odbyła się w wyjątkowym czasie, bo w trakcie zmiany przepisów. Skazani byli sfrustrowani, odczuwali większy gniew i niezadowolone. Poskutkowało to „takimi, a nie innymi zachowaniami i niewłaściwą ich oceną”.

KONFLIKTOWY DANNY

Raport RPO z Barczewa powoduje, że o wyjaśnienia proszą senatorowie i posłowie. 7 lutego zbiera się senacka komisja praw człowieka, praworządności i petycji. Pod koniec marca obraduje sejmowa komisja sprawiedliwości i praw człowieka. W obu bierze udział Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości.

– Nie można dopuścić nawet myśli, że ktokolwiek mógłby być poddawany nieludzkiemu traktowaniu lub torturom – stwierdził w Senacie. – Więc jeżeli gdziekolwiek byłyby tego przejawy, trzeba je wypalić gorącym żelazem. Ale przypominę, że rozmowy z kontrolerami prewencji tortur dopuszczają mówienie nieprawdy. I nikogo nie można za to pociągnąć do odpowiedzialności – zaznaczył i dodał, że w państwie prawa najważniejsze są fakty. A od ich oceny jest prokuratura, później sąd. I zarówno te instytucje, jak i ministerstwo mają obowiązek sprawiedliwie podejść do sprawy. Bo osadzeni mają skłonności do manipulacji.

Danny był w pięciu jednostkach penitencjarnych. Opinie psychologów i wychowawców – jak poinformowali wiceminister Woś, a potem Służba Więzienna – wskazują „na bardzo głębokie zdolności manipulacyjne”. 48 razy karano go dyscyplinarnie (np. za posiadanie niedozwolonych przedmiotów i wulgarność w stosunku do funkcjonariuszy), 60-krotnie zmieniano mu celę. Bo narzucał swoje zasady, był nadpobudliwy. Innym razem oskarżył strażnika o popchnięcie. Ale na monitoringu widać, że specjalnie się potknął. Z kolanem symuluje, co rzeczywiście nietrudno zauważyć. W więzieniu twierdził, że nie jest w stanie nic nosić, a gdy się zapomniał, ćwiczył na spacerunku. Albo kulał w trakcie wychodzenia na wolność, a gdy znalazł się za bramą, już szedł swobodnie. W czerwcu br. został skazany na karę grzywny za znieważenie strażnika więziennego.

– Akurat te wszystkie argumenty dotyczące osadzonego, gdzie on jest agresywny i butny, mogą rodzić wrażenie, czy akurat w tym przypadku nie wzięto spraw w swoje ręce – wtrącił senator Aleksander Pocię, przewodniczący komisji senackiej. – Żeby już więcej tego nie robił.

• W latach 2017–22 do Prokuratury Rejonowej Olsztyn-Północ wpłynęło 240 zawiadomień dotyczących podejrzenia popełnienia przestępstwa na szkodę osadzonych w Zakładzie Karnym w Barczewie. W 22 przypadkach postępowanie wszczęto, a potem umorzono.

W podobnym tonie na posiedzeniu komisji sejmowej wypowiedziała się Justyna Józwiak z mechanizmu prewencji: – Też analizowaliśmy jego akta. Trudny w kontakcie, manipulujący, uciążliwy, nadpobudliwy. To wszystko spowodowało, że uznaliśmy go, przepraszam za określenie, za najlepszego kandydata do stosowania tego typu praktyk. Bo właśnie wobec takich osób najczęściej dochodzi do nadużyć. Symptomatyczne było także to, że miał zostać w ten sposób potraktowany zaraz po przyjęciu do zakładu karnego. Jak mówi literatura i orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, do tortur najczęściej dochodzi w najwcześniejszych godzinach pobytu.

Argumentem przeciwko Danny'emu, na którym koncentrują się obie komisje, ma być też to, że po wyjściu z ambulatorium był spokojny. A, jak podkreślił wiceminister Michał Woś, według specjalistów osoba poddawana torturom wykazuje „daleko idący niepokój”. Tymczasem gesty i mimika Danny'ego nie wskazują na jakiegokolwiek oznaki zdenerwowania, nienaturalnego zachowania.

Zapytam o to później Wiole Rębecką-Davie, psychoanalityczkę badającą zespół stresu pourazowego i specjalizującą się w torturach wojennych. Usłyszę, że każdy tego typu akt to doświadczenie traumatyczne. I jakiegokolwiek byłyby te tortury, będziemy na nie reagować jak na zagrożenie życia. Waterboarding to z kolei najczęściej stosowana tortura we wszystkich kulturach, bo poddawany jej człowiek – przez to, że nie może oddychać – od razu reaguje przerażeniem. Zwalnia się rytm serca, spada ciśnienie. W sensie neurofizjologicznym taka osoba szykuje się na śmierć. Szok wywołany tą sytuacją u jednego skutkuje pobudzeniem, u innego potulnością.

Pułkownik Marek Kulwicki, dyrektor Zakładu Karnego w Barczewie, nie odpowiedział na prośbę o spotkanie ze mną. Ale zabrał głos w trakcie obrad komisji sejmowej. – W sprawozdaniu KMPT nie ma mowy o prawdopodobieństwie czy nawet dużym prawdopodobieństwie – mówił rozgoryczony. – Mamy stanowcze, kategoryczne stwierdzenia, które ogromnym rezonansem odbiły się w polskim społeczeństwie. Sam RPO wypowiada się już w sposób stonowany, mówi o pewnym prawdopodobieństwie, które zostanie wyjaśnione z zachowaniem gwarancji procesowych. Tymczasem w sprawozdaniu zostało napisane: „Delegacja KMPT ustaliła, że w zakładzie dochodzi do aktów przemocy ze strony niektórych funkcjonariuszy, w tym do tortur i nieludzkiego oraz poniżającego traktowania”. Nawet sąd, stosując środki zapobiegawcze, nigdy nie zawrze tego typu sformułowań. Mowa będzie tylko o dużym prawdopodobieństwie. Nie ma się co dziwić, że środki masowego przekazu pisały potem o „polskim Guantanamo”.

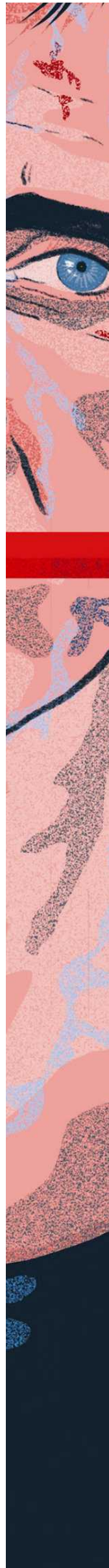
Dodał, że w stosunku do zarządzanego przez niego więzienia prowadzono pięć postępowań prokuratorskich w zakresie stosowania przemocy wobec osadzonych. Cztery z nich – po kontroli sądu – umorzono. Jedno umorzenie sąd uchylił do ponownego rozpoznania.

W trakcie obrad komisji sejmowej generał Andrzej Leńczuk, zastępca dyrektora generalnego Służby Więziennej, poinformował, że powołano siedmioosobowy zespół do zbadania sytuacji opisanych w raporcie KMPT. W skład zespołu weszli lekarz i psycholog. Rozmawiali z osadzonymi (tylko jeden złożył skargę), z funkcjonariuszami (zaprzeczyli, by stosowali przemoc), dokonali analizy monitoringu i wybranej dokumentacji. Raport ma nie potwierdzać ustaleń kontrolerów. Ale nazwiska osób nad nim pracujących utajniono. Treść także.

40 NOWYCH ZAWIADOMIEŃ

Kiedy wychodzi raport RPO, okazuje się, że dyrektor więzienia w Barczewie złożył zawiadomienie do prokuratury na dyrektora Kazimirskiego. Bo jego zdaniem kontroler RPO, oddając moc na kafelki, zniszczył mienie zakładu. Ale do wniosku tego doszedł dopiero trzy tygodnie po incydencie i dwa dni po zawiadomieniu złożonym do prokuratury przez Biuro RPO w sprawie nieprawidłowości w Barczewie.

Złożenie zawiadomienia Departament Wykonania Orzeczeń i Probacji Ministerstwa Sprawiedliwości



nazwie później decyzją całkowicie niezasadną, stanie w obronie Kazimirskiego i zaleci więzieniu wprowadzenie procedur eliminujących podobne sytuacje. A prokuratura odmówi wszczęcia śledztwa.

Ale postępowanie dotyczące „znęcania się ze szczególnym okrucieństwem” nad osadzonymi trwa. Zostało przedłużone do końca lipca, w aktach jest już ponad 40 nowych zawiadomień na funkcjonariuszy. Piszą więźniowie z całej Polski. I ich rodziny. O podtapianiu i podduszaniu. Biciu, wyzywaniu. Większość została już przesłuchana, w tym więźni z Przemysła.

NISKI PRESTIŻ

W polskiej Służbie Więziennej na koniec grudnia pracowało 27,7 tys. mundurowych. Osadzonych było ponad dwa razy więcej. Strażnicy pionów ochrony wyrabiają rekordowe nadgodziny. W Barczewie, podczas kontroli Biura RPO, wolnych było 13 wakatów. Do dziś nie jest obsadzony etat lekarza psychiatry. Konkurs cały czas trwa, nikt się nie zgłasza.

Choć rządzący ułatwiają dostęp do pracy w Służbie Więziennej, np. skracając czas oczekiwania na wydanie orzeczenia o zdolności do pełnienia służby, i dają wyższe dodatki, to tylko przez pierwsze dwa miesiące roku 2023 mundur zdjęło aż 2,5 tys. funkcjonariuszy. Przez cały ubiegły rok było to ok. 1,6 tys. pracowników.

A zakłady karne często mieszczą się w małych miejscowościach, gdzie są największym pracodawcą. Jak w Barczewie, liczącym 7,3 tys. mieszkańców.

– I ci ludzie często idą tam do pracy nie dlatego, że mają taki pomysł na życie, tylko dlatego, że nie mają innego wyjścia – powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” Paweł Kobes z Zakładu Prawa i Polityki Penitencjarnej Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego, przy okazji dyskusji o raporcie Biura RPO. – Wielkim problemem jest to, że Służba Więzienna ma bardzo mały prestiż społeczny, żeby nie powiedzieć, iż nie ma go wcale.

Dlatego nabór do zawodu często odbywa się na zasadzie selekcji negatywnej.

– Tylko jak ludzie bez prestiżu społecznego mają kogoś przygotować do życia w społeczeństwie? – pyta dr Kobes. – Z kolei ci młodzi ludzie, którzy idą do SW naładowani pięknymi ideałami, zaraz stamtąd odchodzą, bo widzą, że system nie działa tak, jak sobie wyobrażali. Dlatego dopóki nie zostaną poprawione warunki pracy, nie wzrośnie realne wynagrodzenie SW, dopóty będą tam szły osoby, które nierzadko nie radzą sobie w innych strukturach.

TU JEST PRAWO SIŁY

23 stycznia 2023 roku zespół KMPT, tym razem w czteroosobowym składzie, ponownie niespodziewanie pojawia się w Barczewie. W ciągu czterech dni spotykają się z większością osadzonych, z którymi rozmawiali wcześniej, i słyszą o kolejnych przypadkach nadużyć ze strony funkcjonariuszy. Jeden więzień zgadza się na złożenie zawiadomienia do prokuratury.

Miał być podduszany, bity po twarzy, kopany, przewrócony na podłogę. Podobne sytuacje opisywali inni osadzeni, którzy również mieli doświadczyć tego typu przemocy lub o niej słyszeli. Ale nie zdecydowali się na zgłoszenie. Wskazywali za to jeszcze, że są zastraszeni zaraz po przyjęciu do jednostki. Np. słowami: „nie pozwolimy ci robić tego, co w Białymstoku”, „tu jest prawo siły”.

Wizytatorzy dowiedzieli się też, że w styczniu w jednej z cel mieszkalnych współosadzeni znęcali się nad osadzonym („dojeżdżali go”). W efekcie trzech funkcjonariuszy wyprowadziło ich, włącznie z ofiarą zająścia, do niemonitorowanego pomieszczenia, gdzie osadzeni mieli być bici, rzućni o ścianę. Inny więzień opowiedział, że za niewłaściwe zachowanie wobec strażnika został w tym pomieszczeniu obezwładniony, a potem założono mu kajdanki na wykręcone do tyłu ręce. Wyzywano, zastraszano.

Podczas wizytacji przedstawiciele RPO powiedzieli dyrektorowi zakładu, że w jednostce może istnieć zorganizowany aparat przemocy i w związku z tym konieczne jest dogłębne zweryfikowanie relacji panujących pomiędzy funkcjonariuszami a więźniami. Dyrektor odpowiedział, że nie podziela ich opinii. ●

Kontakt z autorką reportażu przez stronę katarzynawlodkowska.pl

Wakacje za średnią krajową

10 ADRESÓW
W KAŻDYM
MIEŚCIE

Wcześniej sprawdzamy
w internecie wszystkie knajpy.
Unikamy krępujących sytuacji,
że wchodzisz do lokalu,
widzisz ceny i wychodzisz

W tym roku Basia zrezygnowała z wakacji all inclusive w Grecji i popłynęła z mężem na jeden dzień do Karlskrony.

Wojtkowi marzą się Wyspy Kanaryjskie, ale na razie nie pojedzie nigdzie, bo zbierają z dziewczyną na wkład własny do kredytu.

Kinga zabrała męża i troje dzieci do chaty w górach, na szczęście ma duże zniżki na Booking.com.

Kasia z Rudy Śląskiej z mężem lecą do Albanii, niestety Ryanair kazał im zapłacić za półroczne dziecko.

A Katarzyna z Kaszub tłumaczy, że nigdzie nie wyjadą, bo cała rodzina to domatorzy.

DZIECI MAJĄ PSA,
TO IM SIĘ NIE NUDZI

Katarzyna (35 lat) z Leźna na Kaszubach, wraz z mężem mają na rękę średnio ponad 8 tys. zł miesięcznie

– Nigdzie nie wyjeżdżamy, chyba że do rodziny. Nie to, że nas nie stać, po prostu jesteśmy domatorami – tłumaczy.

Mają z mężem dwóch synów (9 i 14 lat). – Dwa lata temu pojechaliśmy na wakacje. Chcieliśmy, żeby dzieci chociaż raz przeżyły coś takiego. Wynajęliśmy domek nad jeziorem, w Ostrzycach, niedaleko od nas. 350 zł za dobę, pięć dni. Dzieciom niczego nie odmawialiśmy. Kupiliśmy kółka do pływania, nowe kąpielówki, sandaalki. Dopiero po powrocie zdaliśmy sobie

sprawę, ileśmy tam wydali... – opowiada. – Kolejnych takich wyjazdów nie planujemy.

Katarzyna jest sprzedawczynią w pobliskim Żukowie (3,4 tys. zł na rękę), mąż pracuje w firmie zajmującej się oznaczaniem dróg (6 tys. zł w sezonie). Aby wynająć domek nad jeziorem, ona i mąż odkładali przez pół roku po 200 zł z każdej wypłaty. Mąż dołożył pieniądze na jedzenie, które przygotowali w domku samodzielnie.

– Ten domek był dobrym miejscem do wypoczynku, bo było przy nim miejsce z wygrodzonym kawałkiem jeziora, no i nie musieliśmy wydać dużo na paliwo na dojazd. Mimo wszystko uderzył nas mocno po kieszeni, zwłaszcza że dzieci dostały alergii i trzeba było płacić za leki i dojazd do lekarza. Wydaliśmy ponad 4 tys. i musieliśmy potem zaciśnąć zęby przez dwa tygodnie, żeby dociągnąć do wypłaty – opowiada Katarzyna. I podsumowuje, że to był taki wyjazd „pierwszy i ostatni”. Bo co prawda mąż dostał w międzyczasie podwyżkę i teoretycznie mogłoby im być łatwiej odłożyć taką kwotę, ale raz, że cena domku tymczasem na pewno znacznie wzrosła, a dwa – z podwyżką męża wiąże się fakt, że prawie całe wakacje jest teraz w delegacji. A Katarzyna wyjeżdżać sama z dziećmi na taki urlop nie chce.

Pod koniec lipca zabierze za to synów na tydzień na wieś do swojej rodziny.

– Pojedziemy na trzy dni do jednej siostry i na trzy dni do drugiej. Z atrakcji chłopaki będą miały żniwa, traktory, po sianie sobie poskaczą. Poza tym może wyśle ich do babci do Żukowa. Starszy syn i tak tam ciągle jeździ, żeby nie siedzieć w domu. Ledwo się weekend zbliża, wsiada na rower, jedzie do mojej mamy i zostaje tam trzy dni – opowiada Katarzyna.

Do Żukowa jest 17 kilometrów. Miasteczko liczy ponad 8 tys. mieszkańców. Katarzyna nie dziwi się synowi, że go tam ciągnie. – My mieszkamy w takim miejscu, że nic wokół nie ma, tylko lasy i piaski. A tam jest duży plac zabaw, ogrodzony, skate park, mieszka tam też mój brat z synem w podobnym wieku, więc oni razem chodzą na kosza, pizzę i razem spędzają czas. Błąkają się, jak to oni mówią, po tym Żukowie. Czasem wpadną do mnie do sklepu, bo mają po drodze, i jest: „Mama, daj na loda”. Są też imprezy okolicznościowe, pod kościołem w lipcu była co tydzień inna kapela. Są koła gospodyń wiejskich, częstują chlebem ze smalcem. Nawet jak oni nic na tych stoiskach nie kupią, to się napatrzą na kulturę, muzykę inną niż w domu – wylicza.

Dopytuję o wyjazdy synów na kolonie, półkolonie, ale Katarzyna tłumaczy: były inne, pilniejsze wydatki – ubezpieczenie samochodu, wymiany i naprawy ciągle psujących się sprzętów AGD. Na takie cele, i dodatkowo na dziecięce ubrania i wyprawki, idą też pieniądze z 500+. – Nie wiem, czy moje dzieci ciągnie do wyjazdów. Do babci na pewno tak. Nad jeziorem gdzieś w okolicy czasem pojedziemy albo do Gdańska, ale tak na jeden dzień, bez noclegu. Zabieramy się wtedy z sąsiadkami, zrzucamy na paliwo, żeby wyszło taniej. W domu robimy kanapki, żeby na miejscu już tylko kupić lody czy gofry. Jasne, to też podróżowało, więc bywa, że sobie nie kupimy, ale dzieciom nie odmawiamy – mówi Katarzyna.

Na zagranicznych wakacjach nie byli nigdy, nie jeżdżą też poza rodzinne Pomorze. Ale brat Katarzyny na wakacje jeździ. Był z rodziną w Zakopanem dwa tygodnie, był w Kazimierzu Dolnym. Jednak zarabia dużo więcej. A znajomi? – Ci, którzy nie mają dzieci, podróżują. Turcja, Tunezja... Ale też szukają okazji. A sąsiadki, samotnej matki dwójki dzieci, której mąż nie płaci alimentów, nie stać na żaden większy wyjazd. Wsiada ze mną w auto i jedziemy razem na molo w Sopocie, na Westerplatte, nad morze. Jej córeczki mają 4 i 9 lat, dobrze się dogadują z moim młodszym synem – opowiada.

Rodzina Katarzyny mieszka w niedużym dwupiętrowym domu, który wybudowali metodą gospo-



FOT: SHUTTERSTOCK

darczą, z pomocą rodziny i znajomych. Kredyt wzięli tylko na dach – 100 tys. zł. Za dziesięć lat skończą spłacać raty – dziś 550 zł miesięcznie.

– Nie wiem, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy musieli spłacać wyższy kredyt. Na samo jedzenie tyle idzie. W moim sklepie, gdzie pracuję od pięciu lat, cebula i marchew były w tym roku po 9 zł za kilo. A rok temu cebula była po 3,5 zł, a marchew po 2 zł za kilo. Chociaż ja mam fajne szefostwo i wszystko mogę kupować po cenie zakupu. No i mam kawałek ziemi, teściowie tak samo, wymieniamy się. My mamy czereśnie, jabłkonki, sliwy, fasolkę, salatek; oni – cebulę, marchewkę, czosnek, ogórki, pomidory. Dzielą się też jajkami, bo dzieci bardzo dużo ich jedzą, a też strasznie podróżowały. Więc radzimy sobie, jak możemy, bo pensje stoją. Od lipca będę miała jakąś podwyżkę, ale zupełnie nieadekwatną do wzrostu cen – podsumowuje.

Jak wygląda ich czas wolny w lecie?

– Odpalamy grilla i siedzimy w ogródku. Robimy ognisko, puszcza muzykę, zapraszamy teściów

OKTAWIA
KROMER

czy sąsiadów. No i mamy od sierpnia psa. Dzieci nas namówiły, jest głównie dla nich, żeby się nie nudziły w domu. Taki kundelek do kolan. Muszą z nim wyjść, nakarmić go. Wcześniej marudziły, wiecznie gdzieś znikają i wracają po nocach, a odkąd mamy psa, chętniej z nim zostają.

CENY KOSMICZNE

Wojciech (30 lat), mają z dziewczyną 9 tys. zł na rękę

– Wakacje? Jeżdżę służbowo do Łeby i widzę, jak to wygląda nad morzem. Ceny są kosmiczne. Obiad dla jednej osoby zaczyna się od 50 zł, w taniej wersji. Na szczęście za mnie płaci firma. Turystycznie bym tu z dziewczyną nie przyjechał, nie w tym roku, kiedy zastanawiamy się nad kredytem na dom na 2 proc. i oszczędzamy na wkład własny.

Wojciech jest inżynierem, zarabia 6 tys. zł miesięcznie na rękę, jego dziewczyna jest nauczycielką, z pensją 3 tys. zł miesięcznie. Kredyt (około 500 tys. zł) ma im pomóc sfinansować budowę domu na działce pod Łodzią, którą planują kupić z pomocą rodziców (za 160 tys. zł). Dom będą budować systemem gospodarczym. – To, co umiem, zrobię sam, trochę się nauczę, do prac konstrukcyjnych będę kogoś zatrudniać – mówi Wojtek. Dom ma mieć ok. 140 m kw. i garaż.

– Dopiero po dwóch-trzech latach od zakończenia budowy będziemy myśleć o dłuższym wypoczynku. Oczywiście zależy, ile wydamy na dom. Jeśli uda

nam się oszczędzić na kosztach i nie wydać całego kredytu, rata będzie mniejsza i będziemy mogli szybciej coś odłożyć – tłumaczy.

W Łebie byli turystycznie rok temu i już wtedy wydawali po 100 zł dziennie na samo jedzenie dla dwóch osób, choć częściowo przygotowywali je sobie sami. – Dziś wydawalibyśmy pewnie ze dwa razy więcej. Dlatego pod koniec sierpnia pojedziemy ze znajomymi na tydzień w góry, w wersji budżetowej, czyli z noclegami w schroniskach. W pięć-sześć osób fajnie się jeździ, bo bierzemy wtedy cały kilkuosobowy pokój w schronisku dla siebie. Wychodzi to zawsze trochę taniej. W schroniskach można skorzystać z wrzątku, czasem jest kuchnia, więc można coś samemu ugotować, odgrzać. Jak zaplanuje się trasę, by po drodze były jakieś sklepy, to koszty jedzenia są bardzo niskie – mówi Wojciech.

Cena noclegu? – Schroniska PTTK liczą sobie po 50-60 zł za noc za miejsce w pokoju wieloosobowym dla 6-10 osób, zależnie od schroniska. Oczywiście trzeba odpowiednio wcześniej te miejsca zarezerwować. W Tatrach w sezonie nawet pół roku przed to za mało. My planujemy Karkonosze, Sudety, tam wystarczy rezerwować na dwa miesiące do przodu – tłumaczy.

Znajomi? – Ci, którzy jeszcze nie mają kredytów, zwykle jadą z biurem podróży na tydzień czy dwa do Maroka albo Turcji. W Turcji ceny wahają się od 2,5 do 4 tys. zł, w Maroku od 3,5 do 6 tys. zł za osobę za tydzień. Kto już ma kredyt, jeździ raczej niskobudżetowo w polskie góry albo nad jeziora. Koleżanka z grupą znajomych wynajmuje łódkę na Mazurach,

placą tygodniowo 1 tys. zł za osobę, do tego koszty jedzenia, ognisk, grilla – wlicza Wojciech.

Jego wakacyjne marzenie to wyprawa z plecakiem do Ameryki Południowej. Raz tam był, jeszcze przed pandemią, koleżanka znalazła w styczniu tanie loty na czerwiec, zabukowali i polecili (za cały dwutygodniowy wyjazd razem z przelotami, wynajmem samochodu i noclegami na Airbnb wyszło im 5 tys. zł za osobę, w tym 2 tys. zł za loty). Jego dziewczyna marzy z kolei o Hawajach, „prawdziwych tropikach”, plażach, wulkanach i nicnierobieniu.

– Gdybym teraz dostał 5 tys. zł na osobę, wybrałbym się na wakacje all inclusive, żeby odpocząć. Może do Maroka albo na Wyspy Kanaryjskie. Kiedyś tam byłem, jeszcze za dzieciaka, z rodzicami, i było super: widoki, plaże, można połączyć zwiedzanie z wypoczynkiem, drinkiem z palemką na leżaku – rozmarza się.

NIE TRZEBA JECHAĆ DALEKO

Kinga z Gdańska (36 lat), razem z mężem mają do dyspozycji ok. 10,5 tys. zł na rękę

– Zawsze da się gdzieś wyjechać, i nie musi to być drogie. Choćby pod namiot na Kaszuby można jechać z każdym budżetem, nawet bardzo małym – przekonuje Kinga, psycholożka, w trakcie szkolenia na psychoterapeutę. Zarabia 4 tys. zł na rękę. Jej mąż pracuje w stoczni jako rysownik, zarabia 6,5 tys. zł. Do tego dochodzą pieniądze z 500+ na trójkę dzieci (5 lat, 2,5 roku, 7 miesięcy).

Kinga w czerwcu była z rodziną w Beskidzie Sądeckim. Domek na górskim odludziu wynajęli przez Booking.com. – Cisza, spokój, ptaszki świergoczą, pięknie. Wypoczywaliśmy, chodziliśmy po górach. Najstarsza córka raz przedreptała 11 kilometrów. Najmłodszą nosiłam w chuście, syna – tata, w nosidelku – opowiada.

Domek położony był na tak stromym zboczu, że musieli zamienić swoje auto na terenówkę pożyczoną od gospodarzy mieszkających w dolinie kilka kilometrów dalej, żeby do niego dojechać z bagażami. Wynajęli go na dwanaście nocy za 4,5 tys. zł (375 zł za noc) – dobrą cenę zapewniła zniżka za częste korzystanie z portalu Booking.com.

Ile będzie kosztował cały wyjazd? Kinga przyznaje, że tego nie policzyli. Starają się wydawać jak najmniej, ale też nie odmawiać sobie wszystkiego. – Gotujemy sami, ze składników, które przywieźliśmy autem, ale też jadamy w schroniskach, co wychodzi dużo taniej niż w Gdańsku w restauracjach. Za porcję pierogów dla córki, solidną, dziesięć sztuk, wydaliśmy 19 zł. Obiad dla całej rodziny wynosi nas tutaj jakieś 100 zł, w Gdańsku – 150-160 zł. Zabieramy ze sobą pudełka i jeśli dzieci czegoś nie dojadą, pakujemy i mamy na kolację albo śniadanie. Nic się nie marnuje – zapewnia Kinga. Jeśli chodzi o ceny atrakcji, pomaga im Karta Dużej Rodziny. Dzięki temu np. nie muszą płacić za wstęp do parków narodowych.

Zanim urodziły się dzieci, Kinga i jej mąż dużo podróżowali. Kinga zwiedziła Azję (Wietnam, Laos, Kambodża), Syberię, Ural, była nawet w Syrii, tuż przed wybuchem wojny. Michał jeździł po Indiach i Bałkanach. Spali w najtańszych hostelach, czasem na podłodze u znajomych. – Z dziećmi te podróże są skromniejsze, bliższe, także ze względów zawodowych. Ale każdego roku gdzieś jeździmy. Najbardziej lubimy aktywne wyjazdy, blisko natury. Dwa lata temu przejechaliśmy z dziećmi na rowerach z Gdańska do granicy z Niemcami. W zeszłym roku byliśmy z nimi na Litwie z namiotem, byłam już wtedy w kolejnej ciąży. W tym roku byliśmy na majówce w Am-



7124 zł brutto

(5186 zł na rękę) na umowę o pracę wyniosło przeciętne wynagrodzenie w Polsce w pierwszym kwartale 2023 r. (wg GUS). Taką kwotę uznaje się za średnią krajową. Innym wskaźnikiem jest mediana, czyli wynagrodzenie środkowe, dzielące zatrudnionych na dwie równej wielkości grupy (jedna z wynagrodzeniem niższym od mediany, a druga z wyższym). Według ostatnich danych Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń w Polsce mediana płac w 2022 r. wyniosła 6257 zł brutto (4595 zł na rękę) na umowę o pracę.

sterdamie i w Hamburgu, pierwszy raz z trójką. To był wyjazd na półtora tygodnia, zatrzymaliśmy się u rodziny i znajomych. W sierpniu jedziemy na wieś, kuzyn męży ma domek na Warmii – wylicza Kinga.

– Gdybyście mieli większy budżet na wyjazdy, to...? – pytam. Kinga mówi, że rozważaliby wynajem lub nawet zakup kampera. – Ale to jest jednak bardzo drogie. Mamy duży namiot i samochód i to też jest okej – mówi.

Na forach parentingowych, które śledzi, poleca no sobie ofertę hotelu na Mazurach. – Wypasiona miejscówka dla rodzin z dziećmi, w cenie opiekunki, mnóstwo atrakcji. Ale kiedy zajrzałam na ich stronę, złapałam się za głowę – 2980 zł za osobę na tydzień. Wolę pojechać do chatki w górach – mówi Kinga. Na podwyżkę inflacyjną w swojej firmie nie liczy. Próbowala ją wynegocjować, bez skutku. Mąż dostał podwyżkę, ale bardzo niedużą.

Gdy pytam, jak spędzają wakacje ich znajomi, Kinga mówi o koleźce lekarzu, który dostał zaproszenie na dwutygodniowy turnus do ośrodka czasowego, w którym będzie pracował, ale w zamian on i jego rodzina dostaną na ten czas domek dla turystów. Inni znajomi (lepiej sytuowani) jadą z dziećmi na Wyspy Kanaryjskie. – Nie rozmawialiśmy, ile na to wydadzą. Może wcale nie aż tak dużo, jeśli dobrze kombinują z lotami i hotelami.

Z GWIAZDKĄ LUB SERDUSZKIEM

Kasia (27 lat), z mężem mają ok. 12 tys. zł miesięcznie na rękę

– Zanim gdziekolwiek pojedziemy, przygotowuję nam plan na wszystko. Co chcemy zobaczyć, ile co kosztuje, gdzie będziemy jedli. Przetwarzam blogi w poszukiwaniu rekomendacji, patrzę, które miejsca się powtarzają, sprawdzam w Google, gdzie dobrze i tanio zjeść, i zwykle zapisuję dziesięć adresów w każdym mieście, i oznaczam je gwiazdką lub serduszkami. Dzięki temu nie tracimy czasu na szukanie i porównywanie cen na miejscu. Jak jesteśmy głodni, to patrzę, gdzie mamy najbliższe jedzenie, i nie siadamy byle gdzie, tylko idziemy do sprawdzonego. Unikamy też w ten sposób krępujących sytuacji. Bo to jest krępujące, kiedy się wejdzie do lokalu, zobaczy ceny i wychodzi – mówi Kasia z Rudy Śląskiej.

Kasia pracuje w branży finansowej, w dziale audytu, jej mąż jest handlowcem. Podkreśla, że 12 tys. zarabiają od niedawna. Sześć lat temu, gdy zaczęli razem podróżować, zarabiali dwa razy mniej. Mimo to zaczęli jeździć na samodzielnie wyjazdy zagraniczne, zwykle dwa-trzy razy w roku. Najczęściej planowali dwa krótsze wyjazdy (3-4 dni) i jeden dłuższy (7-9 dni). Do ich organizacji zabierali się z wyprzedzeniem trzech-czterech miesięcy. W ten sposób byli już w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Grecji, na Teneryfie, w Austrii, Chorwacji i Dubaju.

– W Dubaju? – dopytuję. – Tak, bo Dubaj wcale nie musi być drogi. Zamiast hotelu za 30 tys. dolarów za noc można znaleźć Airbnb na 70. piętrze wieżowca, za 140-200 zł za noc. Można zjeść w lokalnej restauracji obiadokolację na dwie osoby za 150-200 zł, czyli w typowej europejskiej cenie. Jest też dużo tanich atrakcji. Można pójść na targ, nad zatokę... – wylicza.

Kasia przyznaje, że taki research zabiera jej sporo czasu, ale też daje dużo satysfakcji. Z blogów podróżniczych dowiedziała się na przykład, że w Weronie są miejsca, do których w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca wchodzi się za 1 euro zamiast 15, że w Londynie w poniedziałki zwiedza się za 5 funtów. W Atenach udało jej się znaleźć restaurację prowadzoną przez starszego pana w jego piwnicy. – Menu? Co dzisiaj ugotuje, to będzie. Sanepid w Polsce dostałby zawału, gdyby to zobaczył, a tam full ludzi, a dziadek zadowolony, nalewa nam wino z kadzi. Za 20 euro – trzydniowy obiad plus dzbanek wina – najedliśmy się we dwójkę do syta – opowiada Kasia.

Jeśli chodzi o loty, przynajmniej raz w tygodniu sprawdza ceny we wszystkich wyszukiwarkach. W śledzeniu okazji pomagają jej też portal Wacynipiraci.pl, a także alerty, które ustawia sobie na wyszukiwarkach lotów, i newslettery tanich linii z informacjami o promocjach (np. w Ryanairze drugi bilet na ten sam lot był gratis). – Oczywiście to nie są już takie okazje jak kilka lat temu, kiedy można było lecieć za 60-120 zł w dwie strony do Oslo czy do Londynu. Teraz najtańsze loty na dwu- czy trzydniowe wyprawy do większych europejskich miast kosztują 250-300 zł – tłumaczy.

W te wakacje Kasia i jej mąż pierwszy raz podróżują ze swoim półrocznym dzieckiem. Choć wcześniej – nawet na dwutygodniową podróż poślubną – pakowali się zawsze do 8-kilogramowych plecaków

(bagaż podręczny w tanich liniach, bez dodatkowej opłaty), tym razem kupią bagaż rejestrowany. Poleci nim wózek spacerówka dla dziecka.

– Jedziemy do Albanii, bo to tani kierunek. Mieszkanie na Airbnb wynajmujemy za 90-150 zł za noc, na loty wydamy po 800 zł w obie strony na osobę. Marzyła nam się Madera, ale tam trzeba się decydować rok wcześniej, bo loty są inaczej bardzo drogie – tłumaczy Kasia. – W większości linii dzieci do lat trzech latają na kolanach rodzica bezpłatnie, ale w Ryanairze musimy zapłacić, 25 euro w jedną stronę – wzdycha Kasia.

W tym roku byli już w Wiedniu (na trzydniowy wyjazd wydali aż 3 tys. zł, bo w restauracjach trzeba było zapłacić po 50-55 euro za obiadokolację dla dwojga). W planach mają w lipcu wyjazd do Jeleniej Góry. Ale po Polsce podróżują mało, bo się to nie oplaca. – W zeszłym roku na majówkę w Krakowie wydaliśmy tyle, ile poszłoby nam na trzy dni w Mediolanie, z przelotem. Za sam hotel daliśmy 700 zł, i to wcale nie był superhotel, tylko budżetowy. Jeden obiad to 160-180 zł – wylicza Kasia. Zaraz jednak dodaje, że ceny we Włoszech też poszły w górę.

– We Włoszech byliśmy rok temu, kiedy byłam w ciąży, a wcześniej dwa lata temu. W tym czasie ceny wzrosły o połowę. Dwa lata temu za obiadokolację dla naszej dwójki płaciliśmy 20-25 euro, rok temu już 35-38 euro. Ale nie możemy ciągle sami gotować, bo w końcu jesteśmy na wakacjach i nie po to pracujemy cały rok. A i tak wydajemy relatywnie mało, zwiedzając wszystko, co się da. Choć ceny atrakcji też poszły w górę. Choćby wejście na szczyt katedry w Mediolanie. Dwa lata temu kosztowało 8 euro, rok temu – 10-11. Albo wynajem auta na Sycylii. Dwa lata temu to było 40-50 euro za dzień, teraz to 90-120 euro w takiej samej wypożyczalni – wylicza Kasia.

Najbardziej lubią wyjeżdżać na przełomie września i października – nie mają już upałów i tłumów, wygodniej przemieszczać się po mieście. Wybierają też loty w środku tygodnia, bo tańsze są też wtedy hotele. W długie weekendy i święta siedzą w domu.

– Gdybyście więcej zarabiali, to...

– Pewnie wybieralibyśmy dalsze kierunki. Wyspy Zielonego Przylądka, Bali, Polinezja Francuska, Seszele. To loty za 4 tys. zł na osobę. Marzymy też o Stanach Zjednoczonych i Tajlandii – mówi Kasia.

Po podwyżkach pensji o wiele łatwiej im uezierać na wakacje. Zwłaszcza że udało im się już spłacić kredyt na mieszkanie. – Ale nawet jak zarabialiśmy po 3 tys. zł na rękę, odkładaliśmy – każde z nas po 300-500 zł miesięcznie.

NA TURCJĘ ODKŁADALIŚMY SIEDZEM MIESIĘCY

Basia (31 lat), z mężem mają ok. 12 tys. zł miesięcznie na rękę

– U mnie w domu na wakacje się nie jeździło. Pochodzę z rodziny z dysfunkcjami, problemem alkoholowym, przez jakiś czas byłam w domu dziecka. Rodzice nie pracowali, byli na zasiłkach, mieli dużo dzieci. U męża też się nie przelewało. Tata pracował w skupie złomu, mama w sklepie, mieszkali z chorą teściową i dwójką dzieci. Dlatego to, że my wyjeżdżamy, i to za granicę, to jest dla nas duży sukces – mówi Basia. Mieszka w Łodzi, dokąd przeprowadziła się z mężem z rodzinnej Opolszczyzny ze względu na pracę i korzystne ceny mieszkań. Sześć lat temu za 50-metrowe mieszkanie w dobrej okolicy z rządową dopłatą do wkładu własnego zapłacili 180 tys. zł (rata kredytu: 900 zł miesięcznie). Basia była wtedy w ciąży i pracowała w call center za 2,2 tys. zł, jej mąż – w zakładzie produkcyjnym za 3 tys. zł. Ledwo starczało im do kolejnej wypłaty.

Dwa lata temu, kiedy ich pensje wzrosły, postanowili zaplanować wczasy. Jesienią 2021 roku zarezerwowali hotel w Turcji na następne lato. Na tygodniowy pobyt wydali wtedy 7,5 tys. zł. – Odkładaliśmy na to siedem miesięcy. Wybraliśmy opcję

all inclusive, żeby mieć z głowy kłopot z organizacją. Po doliczeniu wycieczek fakultatywnych, dodatkowych atrakcji i jedzenia na mieście wydaliśmy jakieś 9 tys. zł – podsumowuje Basia.

W odkładaniu pomogło im dokładne planowanie wydatków i dzielenie ich na specjalne budżety, osobno na jedzenie w domu, wyjscia na miasto, chemię domową, paliwo, zdrowie.

– Budżet na jedzenie jeszcze trzy-cztery lata temu to było 1,2 tys. zł miesięcznie, teraz to 1,7 tys. zł. Budżet na zdrowie to dziś 200 zł, idzie po części na leki dla syna astmatyka, ale zawsze zostaje rezerwa, dzięki której np. mogłam ostatnio opłacić synowi prywatnego fizjoterapeuta. Na kota przeznaczamy 200 zł. Na wyjscia, zwykle dwa w miesiącu, do restauracji: 300 zł.

W tym roku marzyła im się Grecja all inclusive, ale kiedy jesienią spojrzeli na ceny, złapali się za głowy. Łącznie z wycieczkami musieliby wydać na tydzień ok. 15 tys. zł. – Wiedzieliśmy, że Grecja jest droższa od Turcji, ale rok wcześniej taki sam wyjazd kosztował 10-12 tys. zł. Zrezygnowaliśmy – mówi Basia. Zamiast tego popłyną w rejs do Karlskrony na jeden dzień, a resztę wspólnego urlopu spędzą w domku wynajętym po znajomości nad Bałtykiem, w Sarbinowie (8 dni). Koszt wakacji? Łącznie z minikoloniami syna w dalszej części wakacji (3 dni): ok. 7 tys. zł.

Jeśli chodzi o oszczędzanie, Basi zdarza się zrezygnować np. z kupienia ryb, które bardzo lubi, ale są już dla nich zbyt drogie. – Nie chcę, żebyśmy wydawali na życie całą pensję – tłumaczy. – Wolę nadpłacić kredyt, odłożyć coś, w razie gdyby któreś z nas zachorowało czy straciło pracę.

Nadwyżki z budżetów Basia odkłada na lokatach, koncie oszczędnościowym, kupuje obligacje skarbu państwa. – Znam się na tym, w końcu pracuję w branży finansowej – mówi.

Oprócz wakacji raz do roku w budżecie Basi jest też miejsce na weekendowe wypadki, np. z koleżankami do Gdańska czy Zakopanego, do rodziny pod Poznaniem. W weekendy jeżdżą z mężem na spacer po lasach w okolicy Łodzi, czasem urządzają jednodniowy wypad samochodem, np. do Warszawy, bez noclegu, żeby było taniej.

TRZEBA KORZYSTAĆ Z ŻYCIA, PÓKI MOŻNA

Igor (39 lat), mają z żoną ok. 13 tys. zł na rękę

– Zwykle na wakacjach nie chciałem liczyć pieniędzy. Przez cały rok na konto wpływało wynagrodzenie, coś tam się z tego kumulowało, potem się w wakacje czyściło, a po wakacjach zaczynało kumulować od nowa. Trochę dorzucaliśmy z konta oszczędnościowego, które później w ciągu roku lataliśmy do poprzedniego stanu. W zeszłe wakacje zacząłem to liczyć i wyszło mi, że na nasz typowy urlop wydajemy 10-12 tys. zł. No i też pierwszy raz teraz mamy tak, że nam się tej dziury na koncie oszczędnościowym nie udało załatać po poprzednich wakacjach.

Igor jest dziennikarzem, mieszka w Krakowie, zarabia 6,5 tys. zł na rękę (od niedawna, wcześniej zarabiał powyżej 5 tys.). Jego żona prowadzi własną firmę, ma podobne zarobki. Jak mówi Igor, udaje im się oszczędzać, bo mieszkają w mieszkaniu odziedziczonym po dziadkach.

Ich typowy urlop to dwa tygodnie na Krecie pod namiotem. Jeżdżą w to samo miejsce od dziesięciu lat, w tym roku po raz drugi pojadą w powiększonym składzie, z dwuletnim synem. Na miejscu mają stałą ekipę międzynarodowych znajomych, którzy mieszkają tam w kamperach, to zwykle emeryci hipisi: Niemcy, Włosi, Anglicy. W kwocie 10-12 tys. zł zawierają się loty, wynajem samochodu, miejsce na kempingu (7-8 euro dziennie), parę dni na Airbnb w innym rejonie Krety, żeby coś dodatkowo zwiedzić, jedzenie na mieście (kolacja dla dwóch osób, z przystawkami, to do tej pory było ok. 30 euro).

Igor szacuje, że za bilety dla całej trójki w obie strony zapłacą w tym roku 3,6-3,8 tys. zł (z bagażami dla niego i żony). – Odkąd zaczęliśmy latać na Kretę, ceny lotów wzrosły trzykrotnie. Siedem-osiem lat temu można było dostać bilet za 297 zł za osobę, teraz nie ma na to szans.

– W naszej sytuacji taka kwota na wyjazd to dużo, ale ludzie jeżdżą po hotelach i wydają dwa-trzy razy tyle. No i wydaje mi się, że trzeba korzystać, póki można. Kilkaset kilometrów od nas ludzie siedzą w schronie w metrze i gdy myślę, że to mógłbym być ja, dochodzę do wniosku, że nie ma co tak oszczędzać. Przez inflację nasze oszczędności i tak tracą na wartości, a nie wiadomo, co będzie dalej. A ja chciałbym zachować styl życia, jaki miałem do tej pory, dopóki to tylko możliwe i dopóki w ogóle można coś jeszcze przewidzieć. ●

Nocleg za 50-60 zł?

*W pokoju wieloosobowym
w schronisku PTTK*

Cancel culture, czyli nie płakałem po Daukszewiczu

Orliński



Nie wierzę w istnienie zjawiska określanego przez prawników publicystów jako cancel culture (kultura unieważniania). Gdy o nim mówią, zazwyczaj stawiają dwie sprzeczne ze sobą tezy.

Jedna z nich brzmi mniej więcej tak: „Jakże straszliwie cancel culture skrzywdziła J.K. Rowling! Autorkę »Harry’ego Pottera« spotkały niewyobrażalne prześladowania za esej, w którym domagała się zabronienia osobom trans korzystania z publicznych szatni i toalet”.

Druga zaś: „Książki Rowling nadal są bestsellerami, autorka ma się świetnie, ergo: wasza cancel culture nie działa, szach-mat, lewaki”. I gdy prawica już to powie, oddycha z ulgą, że wymyślone przez nią straszdyło nie jest jednak takie znowu straszne.

A może w ogóle go nie ma? To przecież tak jakbym ja powiedział, że mam w szufladzie bardzo skuteczny amulet odstraszący tygrysy. Dowodem na jego skuteczność jest to, że od dawna w okolicach Warszawy nie było żadnego przypadku ataku tygrysów!

Zamiast Rowling może być Dave Chappelle, Jordan Peterson, Tucker Carlson. Albo ktoś z polskich specjalistów od kreowania się na szlachetną ofiarę prześladowań, do znudzenia opowiadającą w mediach o tym, jak media jej nie dopuszczają do głosu.

Oczywiście, istnieje stare jak świat zjawisko bojkotów. Już w starożytności, w Grecji i w Rzymie artyści i myśliciele mieli swoje fankluby, ale także i antifankluby, między którymi dochodziło do fizycznych starć.

Masowe bojkoty rodzą się razem z masową kulturą, to zaś z kolei badacze zazwyczaj łączą z narodzinami romantyzmu. Popkulturowe bojkoty zaczynają się więc razem z pikietami zwolenników klasycyzmu przeciwko abominacji, jaką była dla nich romantyczna sztuka „Hernani” Victora Hugo. W Polsce pod zaborami przebiegało to mniej gwałtownie, bo wszyscy mieli jednak inne zmartwienia na głowie, ale echa sporów klasycystów i romantyków zobaczymy u wczesnego Mickiewicza.

Bojkot towarzyszył kulturze masowej także w XX wieku. Gdy John Lennon powiedział, że Beatlesi są popularniejsi od Jezusa, amerykańska prawica paliła ich płyty. Koncertom Nergala do dzisiaj towarzyszą protesty różnych obrońców wartości chrześcijańskich.

Co więc, u licha, nowego ma być w mitycznej kulturze unieważniania? Że tym razem to nie prawica nawołuje do bojkotu? A co, oni ma-

ją jakąś „licencję na bojkot”, że tylko im wolno, a nikomu innemu nie?

Najnowszym przykładem cancel culture mają być odejścia ze „Szkła kontaktowego”. Krzysztof Daukszewicz palnął dowcipasek klasy „wuj na imprezie rodzinnej”, spotkał go za to podobno straszliwy hejt, więc strzelił focha i odszedł – a na znak solidarności z fochem dołączyli do niego Robert Górski i Artur Andrus.

To było dziwne wyjaśnienie. Zrezygnować z powodu hejtu? Po kilkudziesięciu latach kariery?

Przecież każda osoba znana jest hejtowana (dobry tytuł na piosenkę!). Nawet tak mało istotny felietonista jak ja ma swoich osobistych hejterów, którzy usiłują (bez większego powodzenia) komentować u mnie na blogu.

Jedyny sposób na uniknięcie hejtu w internecie to nie odzywać się. W ogóle. Ani w internecie, ani w „Szkle kontaktowym”. Nawet na ulicy, bo tam zawsze się znajdzie ktoś, kto ukradkiem nagra i wrzuci do sieci.

To dziwne, że Daukszewicz odkrył to dopiero teraz. Nagle zaczął się przejmować hejtem? A to podobno dzisiejsza młodzież jest przewrażliwiona, brak jej dystansu, nie umie znieść krytyki i za to prawica nazywa ją „pokoleniem płatków śniegu”.

Kilka dni później satyryki ujawnił prawdziwą przyczynę odejścia. Otóż zaproponowano mu, żeby dalsza współpraca ze „Szkłem kontaktowym” nie była już na żywo. Dla Daukszewicza to było nieakceptowalne i dlatego właśnie zastosował manewr marszałka Ferdynanda Focha.

No i na tym ma polegać ta cała cancel culture? Że dalej sobie można występować – ale już nie na żywo?

Może jestem staroświecki, ale wydaje mi się, że jeśli komuś zdarza się na żywo „pierdolnąć głupotę” (jak to ujął na wizji sam Daukszewicz), to sam powinien woleć występować z nagrania. Wtedy zdążą mu przynajmniej wypikać wulgaryzmy.

Nie wiem, jak często Daukszewiczowi przydarzały się takie wpadki. Ostatni raz „Szkło kontaktowe” oglądałem dobrych parę lat temu – znudziła mnie formuła polegająca na tym, że kilku starszych panów w kółko opowiada sobie te same dowcipy.

Od kiedy w Polsce działają serwisy streamingowe, w ogóle rzadko oglądam telewizję starego typu. Jeśli na moim telewizorze nie leci Netflix, to znaczy, że oglądam coś na HBO.

Ale właśnie dlatego nawet jeśli „Szkło kontaktowe” całkiem zniknie z anteny, nie uznaję tego za cancel culture, tylko za naturalne szukanie nowych pomysłów.

Zaczęli w 2005. Od tego czasu świat się zmienił. I tylko w TVN w nieskończoność ma być ten sam Daukszewicz z tymi samymi dowcipami?

Wojciech Orliński

POZWÓL
PSU
POWIEDZIEĆ,
CO MYŚLI

Fascynująca historia pierwszego na świecie gadającego psa, pełna praktycznych wskazówek i technik opracowanych przez doświadczoną terapeutkę zaburzeń mowy i logopedkę, Christinę Hunger.



Ta książka to nie tylko poradnik nowatorskich metod komunikacji człowieka z psem. Historia Stelli pokazuje, jak głębokie potrafi być życie wewnętrzne zwierząt i jak wiele możemy się o jeszcze dowiedzieć. Kapitalna lektura!

RADOSŁAW EKWIŃSKI

instruktor szkolenia psów, behawiorysta



PREMIERA 28 CZERWCA

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA publio.pl

Wydawnictwo
Agora

Jak się żyje z prozopagnozą

Twoja twarz BRZMI NIEZNAJOMO

Gdy umawiałem się na randki ze swoją przyszłą żoną, żeby być pewnym, że to ona, dzwoniłem pod jej numer i patrzyłem, czy sięgnie po komórkę

MACIEJ
ORLEWSKI

Instytut Neurologii Poznawczej University College London. Paweł przegląda zdjęcia znanych osób. Same twarze. Aktorzy i politycy mają zretuszowane włosy i ubrania. Paweł stara się ich rozpoznać, ale nie wie, że patrzy na Marilyn Monroe, Roberta De Niro czy Julię Roberts. „Jaka jest szansa, że mam prozopagnozę?” – pyta. „Ja już to wiem – odpowiada prowadzący badanie. – Bo trzecie zdjęcie, które ci podałem, było moje”.

46-letni Paweł jest prozopagnostykiem – nie rozpoznaje i nie zapamiętuje twarzy. Żadnych twarzy. – Aby rozpoznać cię za godzinę, musiałbym się teraz skupić i zapamiętać: masz krótką brodę, nie masz okularów i nosisz koszulę w kratę – tłumaczy mi. – To jak rozpoznawanie ludzi po skarpetkach. Nie masz szans zapamiętać, jakie skarpetki mam na nogach, jeśli wcześniej dokładnie im się nie przyjrzałeś.

Mówiąc to, Paweł nie patrzy mi w twarz – spogląda gdzieś ponad mną albo obok, jakby ktoś stał za moimi plecami albo jakbym miał na kołnierzu niewidzialną plamkę.

– Twarz nie niesie dla mnie żadnych informacji – wyjaśnia. – Co więcej, bardzo mocno rozprasza, bo wysyła masę sygnałów, których nie potrafię odczytać. Nie jestem najlepszy w odczytywaniu mimiki. Niektórych to irytuje i potrafią warknąć: „Gdzie się tak patrzysz?!”. Albo, co gorsza: „Co mi się gapisz na cycki?!”.

PONIŻEJ PIERWSZEGO CENTYLA

Według badaczy na prozopagnozę, nazywaną też afazją twarzy, może cierpieć nawet 2,5 proc. społeczeństwa. Wiele osób nie zdaje sobie z tego sprawy. Prozopagnostycy nie mają żadnych problemów ze wzrokiem ani funkcjami poznawczymi (rozpoznawaniem kolorów, kształtów czy orientacją w przestrzeni), a przez lata nieświadomie rozwijają strategie, które pozwalają im zaadaptować się do sytuacji.

Prozopagnoza może być powypadkowa albo wrodzona. Terminu po raz pierwszy użył w 1947 r. niemiecki neurolog Joachim Bodamer, opisując młodego mężczyznę, który po postrzale w głowę stracił zdolność rozpoznawania twarzy innych ludzi, a nawet swojej własnej. Słowo stworzył ze zbitki dwóch określeń z greki: „prósōpon” (twarz) i „agnōsía” (brak wiedzy).

Paweł jest przekonany, że ma ją od zawsze. – Z trzech moich kolegów z podwórka, z którymi się bawiłem, jeden miał złamany nos, drugi okulary jak denka od piwa, a trzeci wadę wymowy. Dopiero 20 lat później uświadomiłem sobie, że to były trzy osoby, które umiałem rozpoznać – wspomina.

Trudno powiedzieć, czy Paweł był outsiderem przez prozopagnozę, czy też może taki miał charakter. Zamiast imprez wolał planszówki i komputery. Gdy rozpowszechnił się internet, zakochał się w forach. Każdy był tam podpisany nickiem, którego nie można było pomylić.

Ze studiów ekonomicznych Paweł nie pamięta ani jednej osoby. Pamięta za to dużo kłopotliwych sytu-

acji. – Jak najłatwiej przerąbać sobie u wykładowcy? Zapytać profesora Zielińskiego: „Przepraszam, gdzie znajdę profesora Zielińskiego?”. Co z tego, że byłem na wszystkich ćwiczeniach. Już nigdy nie byłem traktowany tak samo.

Kilka lat po skończeniu studiów kolega ściągnął go do Londynu. To właśnie wtedy na jednym z internetowych forów przeczytał o prozopagnozie. Badania nad tym zjawiskiem prowadził prof. Brad Duchaine z University College London.

– I tak w wieku 29 lat trafiłem na diagnozę – wspomina. – Wtedy jeszcze wydawało mi się, że po prostu gorzej rozpoznaję twarze. A okazało się, że jestem klinicznym przypadkiem. Mój wynik w testach to pół centyla: na 200 losowych osób będę najgorszy w rozpoznawaniu twarzy.

MAMĘ ZGUBIŁEM DWA RAZY

W filmie Christophera Nolana „Memento” główny bohater w wyniku wypadku traci pamięć krótkotrwającą: nie pamięta, co robił przed chwilą. Aby odnaleźć mordercę swojej żony, musi łączyć wątki i snuć przypuszczenia, nieustannie robi więc notatki i zdjęcia.

Prozopagnostycy są w podobnej sytuacji – aby odnaleźć się w świecie identycznych twarzy, muszą korzystać z innych narzędzi niż własna pamięć. I tak jak w „Memento” ich życie przypomina trochę pracę detektywa.

– Dzieci brata z przedszkola odbierałem w ten sposób, że przychodziłem i czekałem, które do mnie przybiegnie – opowiada Paweł. – Gdy umawiałem się na randki ze swoją przyszłą żoną, żeby się upewnić, że to ona, dzwoniłem do niej, gdy szła, i patrzyłem, czy sięgnie po komórkę.

Dużym wsparciem są bliscy. Na imprezy Paweł chodzi zawsze z kumplem przewodnikiem, który robi za bufor między nim a innymi, pozwalając mu rozeznać się, kto jest kim, zanim zrobi się niezręcznie. Czasami skrzydłowy wprost podpowiada mu dyskretnie, z kim mają do czynienia.

Strategie mają to do siebie, że nie zawsze działają. Wystarczy drobna zmienna w obliczeniach, by całe równanie wyszło błędne. Jak wtedy, gdy Paweł czekał na sąsiada, który miał go podrzucić do Castoramy. Specjalnie zapamiętał markę i kolor samochodu. Ale kolega podjechał innym, służbowym.

– Swoją mamę w teatrze zgubiłem dwa razy, bo miała na sobie ubranie, którego na co dzień nie nosi. Jak ktoś się ubierze odświętnie, to nagle znika mi z radaru.

KĄŻDY JEST ZNAJOMYM

Gdy Paweł dowiedział się, że jest prozopagnostykiem, założył na Facebooku profil „Prozopagnoza”, na którym śmieszkuje sobie ze swojej przypadłości. „Dlaczego tak często przeglądasz się w lustrze?” – mąż pyta żonę. „Bo nie mam pamięci do twarzy”.

Na początku liczył, że dzięki profilowi znajdzie osoby z tym samym problemem. Ale zdiagnozowana

prozopagnozja jest bardzo rzadka. Dlatego zaczął adresować profil do tych, którzy o nierozpoznawaniu twarzy nic nie wiedzieli.

– Bardzo często słyszę: „Nie, no coś ty, nie ma czegoś takiego”. Dlatego częściej mówię, że prozopagnozja to daltonizm twarzy. Bo daltonizm to jeszcze ktoś kojarzy.

– Ale nie wyczuwam w tobie wielkiego żalu do świata, że prozopagnozja zniszczyła ci życie – zauważam.

– Jestem dość pogodny, bo wszystkich traktuję tak, jakby byli moimi znajomymi. Bo jeśli obcą osobę potraktuję jak znajomego, to przejdzie, ale jeśli znajomego jak obcego, to będzie afera. Dlatego z każdym rozmawiam jak ze starym znajomym, a gdy ktoś mi się przygląda, zawsze mówię „Dzień dobry”. Niekiedy kilka razy dziennie tej samej osobie.

Czego Pawłowi trochę żal? Kiedyś chciał być nauczycielem matematyki, ale wiedział, że gdy usiądzie przed nim 30 uczniów, nigdy ich nie rozpozna. Został programistą, pracuje z domu. Kontakt z szefem ma mailowy lub telefoniczny. Technologia daje to, że wszyscy już są podpisani.

Prozopagnozja odsuwała go od ludzi na zasadzie samonapędzającego się mechanizmu: trudno umówić się z kolegą na piwo, jeśli się go nie poznaje. A jeśli mijają się ludzie jak powietrze, nie dostaje się zaproszeń na kolejne wyjścia.

– No i głupio mi, że jedną sąsiadkę jestem w stanie rozpoznać po psie, z którym wychodzi na spacer, a drugi sąsiad jest łysy jak kolano i też charakterystyczny, ale zawsze jest obawa, że może to nie on i co, jeśli się pomyli. Głupio będzie. To jednak stopuje człowieka.

Dlatego Paweł uczy się rozpoznawać tylko tych, których musi: kolegę, z którym umówił się na podwózkę („po samochodzie”), lekarza („po numerze gabinetu”), kuzynkę, która ma odebrać paczkę („umawiam się pod domem i czekam, kto zagada”). Reszta po prostu przepływa.

TO NIE MOJA WINA

Wchodzę na stronę openpsychometrics.org, która oferuje „interaktywny test pamięci twarzy oparty na ekspozycji”.

„Ludzki mózg posiada specjalny moduł, który służy do rozpoznawania twarzy – piszą autorzy strony. – Osoby z prozopagnozją, znaną również jako »ślepotą twarzy«, mają trudności z jej zapamiętywaniem. Za każdym razem, gdy widzą twarz, wydaje im się, że nigdy wcześniej jej nie widzieli. Muszą wykorzystywać inne informacje, jak włosy, głos czy ciało, aby rozpoznać innych”.

Przed rozpoczęciem testu czytam jeszcze, że za chwilę zobaczę wiele różnych twarzy. Przy każdej fotografii muszę odpowiedzieć, czy widziałem ją już wcześniej, czy też wyświetla mi się ona po raz pierwszy.

Pierwsze zdjęcie. Młody chłopak bez znaków szczególnych z grzywą bujnych włosów. Klikam przycisk „NEW”. Dziewczyna w różowej bluzce, patrzy prosto w obiektyw. „NEW”. Na razie jest łatwo.

Na czwartym slajdzie powtarza się chłopak z pierwszego obrazka. Po kilku kolejnych chłopak z trzeciego. Przy ósmej albo dziesiątej fotografii zaczynam się wahać. Wydaje mi się, że widziałem tę twarz – ale czy facet nie miał wtedy innych włosów? Albo innej koszulki? A może to kwestia mimiki? Na wszelki wypadek klikam „NEW”.

75 zdjęć dalej strona wyświetla mój wynik. Na 75 pytań odpowiedziałem poprawnie 57 razy. Średni wynik to 63,7. Algorytm informuje mnie, że znajduję się w gronie 10 proc. najsłabszych ankietowanych, ale prozopagnozja to jeszcze nie jest – ta zaczyna się, gdy wyniki spadają poniżej 40.

Zgadza się to z tym, co sam zaobserwowałem. Rozpoznaję bliskie mi osoby bez problemu. Ale ze wszystkimi innymi mam już kłopot – dopóki nie nawiążę z kimś emocjonalnej relacji, zdarza mi się go nie rozpoznać. Moja żona do dziś mi wypomina, że przedstawiałem się jej trzy razy.

– Widzisz, to nie moja wina – triumfalnie macham jej wynikami przed nosem.

LAMPKA SIĘ NIE PALI

Dr Hanna Cygan, neuropsycholożka z Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu w Warszawie, zna Pawła bardzo dobrze. Badala go jako doktorantka Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. Paweł szukał wówczas informacji na temat swojej przypadłości, a dr Cygan rozpoczynała projekt poświęcony percepcji twarzy u osób ze spektrum autyzmu.

Prozopagnozja jest częstą przypadłością osób ze spektrum – cierpi na nią nawet 36 proc. wysoko funkcjonujących autystyków. Prozopagnostykami byli austriacki pediatra Hans Asperger (od którego nazwiska pochodzi nazwa zespołu Aspergera) czy Temple Grandin, amerykańska autorka książek na temat autyzmu i profesorka zootechniki.

Dr Cygan sprawdzała, jakie konkretnie mechanizmy w mózgu Pawła sprawiają, że nie rozpoznaje on twarzy. – Okazało się, że Paweł nie ma dostępu do swojego „słownika semantycznego”, który pozwoliłby mu powiązać twarz z konkretnym człowiekiem. Po prostu nie zapala mu się lampka: „Znam tego człowieka!” – tłumaczy.

TWARZ W KAWAŁKACH

– Kilka lat temu zmarła moja ciocia. Rozpoznałam ją tylko dlatego, że wiedziałam, że w tej trumnie powinna leżeć ona – mówi 39-letnia Joanna.

Życiorysy Joanny i Pawła są zaskakująco zbieżne. W szkole od zawsze Joanna była w gronie outsiderów, którzy „zaszywali się ze swoimi książkami olejani przez wszystkich”. Czytanie książek, a tym bardziej fantastyki, nie było popularne wśród jej rówieśniczek. Joanna szukała więc przyjaciół w sieci. I znajdowała.

– Było o tyle łatwiej, że na forach każdy zamiast zdjęcia miał obrazek. A obrazki się przecież rozpoznaje. Ja miałam awatar z podręcznika do jednej z gier, mój mąż, którego też poznałam na forum, zdjęcie Bieszczad jesienią.

Na pierwszy konwent fantastyki Joanna pojechała, gdy miała 14 lat. Na konwentach każdy miał identyfikator. Gdy Joanna chciała z kimś porozmawiać, najpierw czytała, jaką ksywkę ma na identyfikatorze.

Ze to coś więcej niż „kiepska pamięć do twarzy”, zorientowała się dopiero na studiach. Na pierwszym roku psychologii czytali książkę angielskiego neurologa Olivera Sacksa „Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem”. Tytułowy rozdział opisuje historię pacjenta, który zaczął doświadczać zaburzeń percepcji. Pomimo wybitnej inteligencji mylił osoby i przedmioty do tego stopnia, że w pewnym momencie schwycił głowę swojej żony, biorąc ją za kapelusz.

Im dłużej Joanna czytała, tym szerzej otwierała oczy.

„Doktor P. mówił zwrócony do mnie, patrząc na mnie, a wciąż czulem, że coś jest nie tak – coś trudnego do określenia – pisał Sacks. – Pomyślałem, że zwraca na mnie swoje uszy, nie oczy. Te, zamiast patrzeć, spoglądać na mnie w normalny sposób, »brać w siebie« mój obraz, zniecierpliwienie skupiały się a to na moim nosie, a to na moim prawym uchu, jechały w dół do podbródka, skakały w górę do prawego oka – jakby zauważając, czy nawet badając te pojedyncze rysy, ale nie widząc całej twarzy, jej zmieniającej się mimiki, »mnie« jako całości”.

I dalej: „Traktował twarze (nawet ludzi mu najbliższych), jakby były abstrakcyjnymi układankami albo testami. Nie potrafił ich ujrzeć, zbliżyć się do nich. Żadna twarz nie była mu bliska, w żadnej nie widział »jego« lub »jej«; identyfikował je jako komplet cech, jako »to«. A zatem poznawał jedynie formalnie, nie było w tym nic osobistego. I to prowadziło do jego obojętności czy ślepoty na wyraz twarzy”.

– Dopiero wtedy poznałam słowo „prozopagnozja” – wspomina Joanna. – Zorientowałam się, że moje problemy nie są po prostu większym odstępstwem od normy, tylko czymś zaburzeniowym.

Joanna, tak jak opisany przez Sacksa doktor P., nie łączy części twarzy w całości.

– Zwracam uwagę na detale: kształt nosa, oczu, fryzurę. Zdarza się, że osoby, które dla kogoś są bardzo podobne, dla mnie są zupełnie różne. „No jak to – mówię – przecież mają zupełnie inne usta!”. Twarz jako całość dla mnie nie istnieje.

Gdy poznała termin „prozopagnozja”, sama zrobiła sobie w internecie test. I tak jak Paweł oblała go

*Na przyjęciach mąż
podpowiada Monice:
„To jest twoja ciocia”*

po całości. Na mniej więcej 30 twarzy znanych osób rozpoznała jedynie kilka.

– „Skądś znam tę twarz” – myślałam, bo to byli aktorzy, których miałam dobrze „owidzianych”. Ale skąd znam? Z telewizji, sklepu, pracy? Od tego czasu wiem, że nie zacznę rozpoznawać ludzi, jeśli będę często z nimi przebywać. Żeby ich zapamiętać, muszę się ich po prostu nauczyć.

Diagnoza pozwoliła Joannie odpuścić. Zrozumiała, że się nie zmieni. Wcześniej na każde „Dzień dobry” grzecznie odpowiadała i udawała, że doskonale wie, kto to mówi. Później z rozmowy próbowała się domyślić, skąd właściwie się znają i czy są bliskimi przyjaciółmi, czy zaledwie przelotnymi znajomymi.

Dziś coraz częściej przerywa w pół zdania: „Słuchaj, mam prozopagnozję, nie rozpoznaję twarzy. Czy mógłbyś się przedstawić?”.

Joanna pracuje w księgowości, jest też działaczką feministyczną. W 2016 r., po kolejnych zapowiedziach zaostrzenia prawa aborcyjnego, współzakładała na Facebooku grupę Dziewuchy Dziewuchom. Przyjmowała nowe członkinie, występowała w mediach.

– Zdarzało mi się pracować z dużą liczbą ludzi. Można tego nie lubić, ale można akurat nie mieć wyjścia. Ja czułam, że nie mam.

CZY MY SIĘ ZNAMY?

Monika nie potrafi wskazać, kiedy zorientowała się, że coś jest nie tak. Może wtedy, kiedy była w Tatrach i spotkała na szlaku obcego chłopaka? Podszedł, zapytał, skąd idzie, od razu przeszedł na „ty”. „Śmiały, ale ma prawo” – pomyślała. Po kwadransie zaczęła się niecierpliwic. „Czy my się znamy” – wydusiła w końcu z siebie. Zapamiętała jego rozszerzające się oczy: „Jesteś moją ciocią”.

A może wtedy, kiedy szła do telewizji na wywiad z Agatą Młynarską? W studiu siedziały dwie kobiety. Kłopotliwa sytuacja, ale szanse były wyrównane. Monika strzeliła. Spudłowała. Gdy wróciła wściekła do domu, mąż zaczął się śmiać: „Idź do psychiatry, może to alzheimer”. Nie była pewna, czy żartował.

Monika Witkowska wylamuje się ze schematu introwertycznej prozopagnostyczki. Ma 59 lat, jest podróżniczką, himalaistką, żeglarką, pisarką, dziennikarką i przewodniczką. Żyje z podróży: pilotuje zagraniczne wycieczki, pisze książki podróżnicze, a zarobione w ten sposób pieniądze wydaje na kolejne, tym razem prywatne podróże.

W dzieciństwie była w harcerstwie, potem były kluby: przewodników bieszczadzkich, wysokogórski, żeglarski. Siedmiomiesięczny rejs przez Pacyfik, pierwszy, drugi, szósty ośmiotysięcznik.

– Niektórzy przez prozopagnozję popadają w kompleksy. Ja byłam nieśmiała, ale właśnie dlatego robiłam kurs pilotów wycieczek. Gdybym była zamknięta w sobie, nigdy nie mogłabym robić tego, co robię.

Uczestników swoich wycieczek na ogół rozpoznaje: w Wietnamie czy na Filipinach grupka ciasno zbitych Europejczyków wyróżnia się z tłumu.

– Ale ostatnio w Himalajach pomyliłam dziewczynę z mojej grupy z jakąś Brytyjką. Tłumaczę jej, co czeka nas następnego dnia, a ta zdziwiona: dlaczego do niej mówię, i to jeszcze po polsku.

Ze cierpi na prozopagnozję, przekonał ją uczestnik jednej z wycieczek, psychiatra. Odetchnęła. Bardzo bała się alzheimera.

Dziś mąż, który kiedyś żartował z Moniki, jest jej skrzydłowym na rodzinnych imprezach.

– Stoż za mną i odpowiada: „Zbliża się twoja ciocia, taka i taka”. Znam wszystkie rodzinne historie, ale ciągle myślę twarze. Gdyby w tym momencie zatrzymała mnie policja i poprosiła o rysopis taty, nie wiedziałabym, jak go opisać. Nie zdarzyło mi się jeszcze go nie rozpoznać, ale kilka razy wzięłam za tatę obce osoby, bardzo do niego podobne.

Monika mówi o prozopagnozji wszędzie, gdzie się da: pisze na Facebooku, opowiada na prelekcjach i na każdej organizowanej przez siebie wycieczce – aby uczestnicy wiedzieli, że jeśli nie rozpozna ich na ulicy, to nie dlatego, że nie chce ich znać.

Wkurza ją, że za każdym razem, gdy przyznaje się do nierozpoznawania twarzy, słyszy: „To normalne, przecież spotykasz tylu ludzi”. Wtedy tłumaczy jeszcze raz, aż do skutku.

– Ostatnio rozmawiałam z neurologiem. Powiedziała, że z tym nic nie można zrobić, nie ma żadnych metod leczenia, trzeba po prostu z tym żyć – wzrusza ramionami.

I uśmiecha się do mojego ucha. ●



Druga młodość Fiata 126p

ZA WOLNO jedziemy?

**Ja na takie
samochody jak bmw
mam wywalone.
Odkąd skończyłem
18 lat, wiedziałem,
że chcę tylko malucha**

– Wsiadaj, tylko fotel się nie przesuwa. Jakoś się wciśniesz.

No to się wciskam. W końcu udaje mi się usiąść na miejscu obok kierowcy, z kolanami niemal dotykającymi podbródka.

Paweł przekręca kluczyk – nic. Próbuje drugi, trzeci raz – w końcu się udaje.

– Jak jest zimny silnik, to on tak lubi czasami. Ale zazwyczaj odpala – przekonuje, a maluch jak na złość głośno dokładnie w tej chwili. Za chwilę odpala ponownie i tym razem już bez problemu odjeżdżamy spod bloku na Widzewie.

Paweł, 30-letni pracownik łódzkiego wydziału komunikacji, to dumny posiadacz czerwonego fiata 126 el, rocznik 2000.

Wymienił w nim tylko lampy oraz kierunkowskazy. Zostawił za to oryginalne przyciski wokół zegarów, dmuchawę, dźwignie do ssania i ogrzewania. – No i skrzynię biegów z czterema biegami i wstecznym, jak w każdym modelu malucha.

Jedyną Pawła fanaberia to wiatraczek na szybie, który w ciepłe dni pełni funkcję klimatyzacji, oraz radio, oczywiście na kasety. Do tego w schowku pomiędzy fotelami wozi ze sobą śrubokręty i kluczyk dziewiątkę – tak na wszelki wypadek.

Paweł fiatem jeździ na wycieczki, do pracy czy na koncert, ale pod blokiem zaparkowaną ma też hondę civic. Bo jednak z maluszkiem, wiadomo, przygody się zdarzają, lepiej mieć „cywilne” auto w gotowości.

Należy do rosnącej grupy osób, które małego fiata odkryły na nowo.

A Fiat 126p obchodzi w tym roku jubileusz. Dokładnie 50 lat temu, w czerwcu 1973 roku, pierwszy model na włoskiej licencji zjechał z taśmy fabryki w Bielsku-Białej. Do zakończenia produkcji w 2000 roku polskie zakłady wypuściły na ulice ponad 3,3 miliona egzemplarzy. Do dzisiaj przetrwało blisko 2 miliony, choć większość nie jest już sprawna. Po wejściu do Unii Europejskiej Polacy masowo maluszka porzucali, wybierając większe i wygodniejsze niemieckie wozy. Dzisiaj jubilat przeżywa drugą młodość.

A DAJ SPOKÓJ, TAKI STARY?

Wyjeżdżamy z osiedla na drogi lokalne. Maluszek łapie dziury, moja głowa obija się o podsufitkę, a Paweł opowiada:

– Maluchów po drogach jeździ bardzo dużo, wręcz powiedziałbym, że coraz więcej. Zawsze sobie migamy długimi, jak się mijamy na drodze. Jak widzę gdzieś maluszka, to się zatrzymuję porozmawiać z właścicielami. I to zazwyczaj są młodzi ludzie.

– Słucham? A nie emeryci, którzy tym samym autem jeżdżą od 40 lat?

– No właśnie nie. Niektórzy kupują z sentymentu, na zasadzie: a, bo w rodzinie był maluszek. Inni – z fanaberii, chęci posiadania niezwykłego samochodu.

Paweł pochodzi z małego miasta na Dolnym Śląsku. Z młodych lat pamięta przybłokowy parking pełen polonezów, maluchów, wartburgów i trabantów. Seicento było już symbolem dużych pieniędzy właściciela. Malucha mieli jego rodzice i babcia.

– Ja na takie samochody jak bmw mam wywalone. Zawsze mówiłem, że chcę malucha, jak tylko skończyłem 18 lat. Moi rodzice tego nigdy nie akceptowali. „Bo to stare, niebezpieczne, a daj spokój”. Na pierwsze auto kupili mi fordą. A ja wołę starocię.

Od ponad 15 lat Paweł kolekcjonuje polski sprzęt grający: gramofony, magnetofony szpulowe i kasetowe, wzmacniacze Unitra. Jakiś czas temu w Wałbrzychu dorwał zestaw muzyczny Diora z lat 80. i kolumny Altus 110. Niektóre sprzęty służą już tylko do ozdoby, na innych Paweł słucha muzyki, kolejne naprawia i sprzedaje.

Czerwonego eleganta (czyli malucha z ostatniej serii), którym właśnie jedziemy, znalazł zimą w Zduńskiej Woli. Rocznik 2000. Wystawiony był za 10 tysięcy złotych, Pawłowi udało się trochę targować. To i tak był najtańszy model w okolicy, bo malu-

chy chodzą po 15 tysięcy albo i więcej. Na OLX Paweł znalazł na przykład fiata z pierwszej serii produkcyjnej, po generalnym remoncie. Cena: 40 tysięcy.

Wyjeżdżamy na szeroką aleję podmiejską, Paweł wrzuca czwórkę. Silnik rzezi, jakby miał się zaraz rozpaść, wskazówka prędkościomierza wyskakuje do siedemdziesiątki. Sąsiednim pasem wyprzedzają nas dodge, rodzinny SUV, ciężarówka.

– Tego eleganta rozpedziłem maksymalnie do dziewięćdziesiątki, poprzednim udało mi się pojechać 110 po autostradzie.

Paweł tłumaczy, że zazwyczaj jednak po autostradzie maluchem nie jeździ. Ze względów bezpieczeństwa, bo fiatem mocno zarzuca podczas wiatru.

Nie jest też najlepszym pomysłem, by wyjeżdżać tym fiatem w deszczu. Nie chodzi nawet o to, że wycieraczki mają jeden tryb prędkości: średnio-wolny. Większym problemem są wążutkie opony w rozmiarze 12. Bardzo rzadko spotykane, jedynie daewoo tico miało ten sam rozmiar. Dlatego Paweł z przodu ma zamontowane dwie opony z tico, a z tyłu ma opony stare. Taki zestaw nie gwarantuje dobrej przyczepności, więc Paweł usilnie szuka nowych.

– Obdzwoiłem hurtownie, wszędzie to samo: dwunastek nie ma, były, może będą. Jak już się trafią, to w szalonych cenach, ponad 200 złotych za sztukę. Do tego nie każdy zakład wulkanizacyjny zgodzi się przyjąć malucha.

Ruszamy powoli spod świateł. – Maluch ma długą drogę hamowania. Dużo osób mówi, że w tym wozie nie ma hamulców, tylko spowalniacze. I to prawda. Trzeba mieć wprawę, żeby bezpiecznie jeździć.

Mimo mankamentów nie zamieniłby maluszka na żadne combi czy SUV-a. Mody na coraz większe wozy kompletnie nie rozumie. Jak tym parkować, jak manewrować?

BARTOSZ
JÓZEFIAK





ZDJĘCIA MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Emanuela, szefowa i założycielka Łódzkich Maluchów



NA OKŁADCE: Patrycja i Marcin poznali się dzięki maluchom, dziś są małżeństwem

Maluch Józefa jakby zjechał z taśmy fabrycznej

Wracamy pod blok. Chwilę potrwa, nim uda mi się wysiąść. Paweł otwiera bagażnik, oczywiście z przodu. W środku oprócz zapasowego koła wozi także dwie klamki, wężyk, filtr paliwa, kołpaki. Nigdy nie wiadomo, co może się przydać na trasie.

– Dla mnie to nie jest problem, jak się maluszek popsuje. Wręcz przeciwnie – to jest właśnie część przygody.

PODSUFITKI SZUKAŁEM CZTERY LATA

Parking za zrewitalizowaną fabryką Geyera w Łodzi zapelnia się fiatami 126p. Kilkanaście modeli we

Paweł malucha kupił niedawno, bo w marcu. To ostatnia seria – rocznik 2000



wszystkich kolorach tęczy. Kierowcy w wieku od 19 do ponad 60 lat.

Zaczyna się maluchów oglądanie, rozmowy typu: „A tobie też tutaj rdza weszła?”, „Zobacz, przeciek mi się zrobił, skąd to paliwo cieknie?”. Właściciele podnoszą tylne klapy od silnika, zadowoleni prezentują, co tam ostatnio udało im się wymienić, dopieścić, naprawić.

To comiesięczny spot Łódzkich Maluchów. Stowarzyszenie zrzesza ponad 30 właścicieli fiata z miasta i okolic.

Maluszki na parkingi dzielą się z grubsza na dwa rodzaje: część to błyszczące i wypięczone modele, niemal muzealne. Druga grupa to lekko przykurzone egzemplarze z wytartą tapicerką i śladami rdzy, ewidentnie używane do codziennej jazdy.

Do tej pierwszej grupy zalicza się zielony fiat Józefa, emerytowanego strażaka i mechanika.

Radek: – Przy aucie muszę wszystko zrobić sam

– Pan spojrz, to jest oryginalna tapicerka. Oryginalna! No niech pan utrzyma skórę 45 lat w takim stanie! Tego się nie da pomalować. A tego materiału do podsufitki szukałem cztery lata.

Maluch Józefa wygląda, jakby dopiero co zjechał z taśmy produkcyjnej. A to rocznik 1979, kupiony osiem lat temu za 5 tysięcy.

– On był rozkręcony do ostatniej śrubki. Składałem go trzy lata. Te gumy mają 45 lat, takiej galki zmiany biegów nie znajdzie pan nigdzie. Ta półeczka przy siedzeniu pasażera – oryginalna, jest nawet tempomat! W dawnych czasach to się nazywało linka ręcznego gazu.

Józef tłumaczy: zrobić malucha to jedno, a zrobić malucha zgodnego z oryginałem – to jest zupełnie co innego. Znaczący marki od razu poznają, czy to jest model z lat 70., 90. czy dwutysięcznych, bo to przecież od razu widać. Każdy element jest inny!

Oryginalnych części trzeba szukać po internecie, po znajomych, po motobazarach. Józef ma sporo części z czasów, kiedy jako absolwent szkoły samochodowej w warsztacie naprawiał głównie maluchy. Z tych młodzieńczych lat został mu sentyment do marki.

Józef jeszcze wspomni, że z prośbą o opinię dzwonił do niego niedawno Grzegorz Duda, dziennikarz z TVN Turbo, który w nowej edycji swojego programu zajmuje się właśnie renowacją malucha. Józef pracy ekipy TVN-u za bardzo nie poważa. Mają pieniądze i armię ludzi, ale umiejętności i wiedzy kupić się nie da!

– Idziemy na tył, pokażę silnik. To jest koło Korbeckiego. Sznureczek się nawija, można malucha odpalić jak kosiarkę.

– A gdzie pan trzyma to cudo?

– No jak to gdzie? W garażu! Takich samochodów na podwórku się nie trzyma! Żona Józefa przyzwyczaiła się do luksusu, woli jazdę beemką. Trochę się denerwuje, kiedy Józef na cały dzień znika w garażu. Wiadomo, jak to kobieta.

120 NA AUTOSTRADZIE

Jednak wiele kobiet woli maluszki od bmw. Na przykład Emanuela, właścicielka różowego fiata zwanego Pinky.

Opowiada, że maluchy były w jej rodzinie od zawsze. Ojciec, mechanik i wielbiciel motoryzacji, wystąpił w PRL-owskiej kolejce samochodów, który miał się stać 40-konnym cudem. W warsztacie u wujka Stefana zrobił go na malucha rajdowego. Jeździł nim w łódzkim automobilklubie, w amatorskich ligach, rajdach górskich, do Austrii i Niemiec. Mama suszyła tacie głowę, że kolejny weekend gdzieś się ściga po Polsce.

33-letnia Emi, na co dzień nauczycielka w przedszkolu, pasję przejęła po ojcu. Malucha dostała od organizatorek samochodowych rajdów kobiet. Pinky był tam nagrodą przechodnią, ale przez pandemię imprezę trzeba było na chwilę przerwać. Różowy maluch stał się własnością Emi.

Razem z mężem Maciejem, który pracuje w serwisie japońskiej marki, wykonali kompletną renowację, stylizując maluszka na samochód wyścigowy. Silnik udało im się tak poprawić, że doszli do 28 koni – o cztery więcej, niż mają auta w tej serii. Na autostradzie Pinky rozpędził się do 120, szybciej bali się jechać.

Na pytanie: „Ile włożyłeś w to auto?”, Maciej udziela typowej odpowiedzi: „Po 5 tysiącach przestałem już liczyć”.

Pinky zamiast tylnej kanapy ma rollbar, czyli metalową klatkę bezpieczeństwa, jak w prawdziwych wozach rajdowych. Wnętrze wyłożone flockiem, czyli specjalnym zamszem. Fotele i pasy też typowo rajdowe. Pinky raz wziął udział w wyścigu na torze, zwykle jeździ na weekendowe wyjazdy i zloty. Tylna szyba cała w naklejkach z imprez: zlot łódzkich klasyków, rajd do Giżycka, impreza z okazji zakończenia produkcji malucha, finał WOŚP.

W wakacje Emi i Maciej do fiata dołączają przyczepkę albo montują bagażnik na

dachu, ładują sprzęt kempingowy i ruszają w Polskę. Najdalsza trasa Pinky'ego to 400 kilometrów do Giżycka. W Boże Ciało malucha czekał sprawdzian wytrzymałości: jechał w Rajdzie Koguta z Olawy do Stegny na Żuławach Wiślanych. 1200 kilometrów do pokonania w cztery dni. Czy uda się dojechać bez awarii?

Poza wakacjami Pinky na szosy wyjeżdża rzadko. Zimą spędza w garażu, bo sól wymieszana z piaskiem niszczy cieniutką jak bibuła blachę maluchów. Trzy lata zimowej jazdy i można się zęgnąć z podłogą.

Maciek kocha Pinky'ego tak bardzo, że aż wytatuował go sobie na ramieniu, po czym jednak przyznaje, że na co dzień jeździ innym autem. – Wsiadam do grande punto i się czuję jak w maybachu. Zwyczajny 15-letni samochód, a ile radości. Jedzie, hamuje bez problemu, silnik nie rzezi. Dzięki maluchowi doceniasz takie rzeczy.

URATOWANY PRZED ŚMIERCIĄ

Ale są też na zlocie fiaty do codziennej jazdy. Na przykład niebieski maluszek Radka. Postrzępiona skóra na siedzeniach i papierki walające się po podłodze dowodzą intensywnego użytkowania.

Tego malucha Radek uratował przed śmiercią. Właściciel był już gotowy wyprzedać wóz na części.

– Podjechaliśmy do gościa, moja kobita miała akurat pięć stów, facet sprzedał. To była ruina. Podłoga nie istniała, fotele trzymały się na deskach, wahacz urwany, samochód jechał 20 na godzinę. Jakoś doturlaliśmy się do domu.

Radek, z zawodu grabarz kamieniarz, ma w życiorysie krótki staż w warsztacie mechanicznym. Ale nie podobała mu się robota na tempo – nad samochodem to trzeba na spokojnie pomyśleć. Lubi grzebać w starociach. Maluch z 98 roku to jego najmłodsze auto, ma ich jeszcze pięć. Wszystkie uratowane przed złomem.

– Dla mnie liczą się tylko wozy starsze niż 20 lat. Nienawidzę komputerów w samochodach, tych check engine, elektroniki, czujników. A jak coś się spieprzy, to trzeba wolać serwis. Ja jestem ze starej szkoły i przy aucie muszę wszystko zrobić sam. Oglądałem kiedyś dokument o harleyowcach po II wojnie. Dla nich hańbą było oddać motocykl do mechanika. Mam tak samo.

AWARIA PRZED ŚLUBEM

Maluchy czasami pomagają w zawarciu związku małżeńskiego.

Patrycja pierwszego fiata 126p kupiła zaraz po dziewiętnastych urodzinach, czyli dziewięć lat temu. Oliwkowy maluszek kosztował 1800 złotych. Zarobiła na niego w pierwszej dorywczej pracy na produkcji.

– Stwierdziłam, że to jest samochód na mój studencki budżet, w dodatku będzie się wyróżniał z tłumu. Tata miał dwa fiaty, zawsze maluszka wspominał bardzo dobrze, włączył mi się sentyment.

Ojciec w drodze po odbiór auta ostrzegł: „Tylko nie ekscytuj się za bardzo, bo nam sprzedawca podbije cenę!”. Entuzjazm Patrycji osłabł, gdy zobaczyła malucha na żywo. Jeszcze mocniej zwątpiła w swój wybór, gdy nowo kupiony wóz zgasł na pierwszych światłach.

Fiatem jeździła jednak potem na studia z wzornictwa na łódzkiej Politechnice. To

60 kilometrów z Piotrkowa. – Nigdy nie miałam problemów. Zresztą liczyłam na to, że zawsze ktoś pomoże i w razie czego mnie popchnie.

Znajomi zagadali kiedyś do niej: poznamy cię z Marcinem, on też takim jeździ.

– Jakby nie maluch, to może byśmy się nie zgadali. Żartuję sobie, że po to był mi mąż potrzebny, żeby umiał auto naprawiać – opowiada Patrycja. – Na pierwszą randkę pojechaliśmy jednak bmw, tak dla pewności.

Marcin obiecał przed ślubem, że kupionego przez Patrycję malucha osobiście wyremontuje i polakieruje. Dopieszczał go w garażu przez półtora roku. Oliwkowy lakier zamienił na mocny miętowy. Ledwo zdążył przed weselem. Odnowiony, miętowy maluszek miał być ślubnym transportem, ale silnik padł mu dokładnie na dwa dni przed ceremonią, co doprowadziło Patrycję do łez. Na szczęście usterkę udało się szybko naprawić, więc szczęśliwie powiódł pannę młodą przed ołtarz. Eskortowała go kolumna maluchów należących do przyjaciół z łódzkiego klubu.

WSIADAJĄ JAK DO SWOJEGO

– Ludzie super reagują na nasz widok. Podnoszą kciuk do góry, biją brawo. Starsi podchodzą: „O, też takiego miałem 30 lat temu”. Bardzo to miłe – opowiada Maciej, menedżer floty samochodów w dużej firmie, prywatnie posiadacz czerwonego malucha model FL, rocznik 1988.

Ale ludzka sympatia idzie czasami nawet za daleko.

– Ludzie podchodzą, oglądają, a potem łapią za klamkę, próbują wsiąść do środka – opowiada Marcin, mąż Patrycji. – Nawet nie pytają o zgodę! Jakby to był eksponat, a nie prywatny samochód.

Są tacy, co nawet próbują nim odjechać. Kilka lat temu na parkingu przed pracą Patrycji pijany mężczyzna wybił szybę, wsiadł do jej miętowego cuda, kamieniem obłupiał stacyjkę. Zamierzał chyba odjechać. Nie udało mu się, więc facet usnął na przednim siedzeniu. Schwytyany przez straż miejską wyznał, że tak bardzo się zmęczył na spacerze, że postanowił podjechać do domu.

Paweł uważa jednak, że sympatia ludzi kończy się w momencie, kiedy maluch objawia swoją zwodniczą naturę. Na przykład gdy Pawłowi padł akumulator na światłach, musiał przepchnąć fiata przez wielkie skrzyżowanie, przy akompaniamencie klaksonów wkurzonych kierowców. Innym razem, gdy wysiadł mu zabierak i silnik nie chciał ruszyć, musiał samochód przepchać pod blok. Żaden kierowca nie chciał mu pomóc. Zatrzymał się tylko kierowca miejskiego autobusu. Widać kierowcy odczytali się pomagać sobie wzajemnie.

– Bo się wszystkim spieszy – tłumaczy Patrycja. – Mam wrażenie, że bardziej ludzi denerwujemy. Bo jedziemy za wolno.

URATUJĄ NAS DRUKARKI 3D

Prawdziwym bólem głowy są części zamienne. Emi i Maciek jechali raz fiatem do Warszawy, zatrzymali się na chwilę. Maciek wysiadł, wsiadł z powrotem i już drzwi nie mógł zamknąć. Zawias się rozsywał, drzwi opadły. Do Warszawy jakoś dojechali, Maciej wsiadł przez fotel pasażera. W domu udało się je jakoś przyspawać. Ale nowych, w pełni sprawnych szukali pół roku. Albo były w tragicznym stanie, albo

na drugim końcu Polski. A za te w okolicy żądano kosmicznych cen: 500, 600, 800 złotych.

– Z oryginalnych części zdobyliśmy już chyba wszystko, co było do zdobycia w specjalistycznych sklepach. Są zapaleńcy, którzy wciąż produkują takie rzeczy jak filtry, paski napędowe, przeguby, układy zawieszania i układy kierownicze – opowiada Maciej, mąż Emi.

Drugi Maciej, ten od czerwonego malucha z 88 roku, prostuje: – Części może i są, ale znacznie odbiegają jakością od oryginalnych. W maluchu masz taką podkładkę pod gaźnik wykonaną z ebonitu. W internecie są prawie nie do znalezienia, bo już tego nie produkują. Chodzą po 150 złotych. Jak się skończą te podkładki, to nie wiem, co zrobimy, chyba sięgniemy po drukarkę 3D. Ale są jeszcze ludzie z kompletem oryginalnych części. W dobrym momencie objeżdżali sklepy i wykupywali wszystko jak leci. Znam chłopaka, co w garażu ma każdą jedną śrubkę potrzebną w maluchu. Z roku na rok będzie jednak coraz gorzej.

CAŁY ŚWIAT ZWALNIA

Właściciel fiata 126p musi w każdej chwili spodziewać się awarii. Jak mawia Maciej – codziennie coś nowego.

Na przykład – zabieraki. Większość kierowców nawet nie wie, jak wygląda ten mechanizm napędzający koła. Maciej i Emi wiedzą doskonale, bo akurat ta część wycierała im się regularnie co 200 kilometrów. Odczuli to boleśnie, gdy jechali z ekipą 12 innych maluchów na rajd do Giżycka. Co jakiś czas musieli stawać, żeby Maciej mógł się położyć pod samochodem, walnąć młotkiem, dokręcić śruby i ruszyć dalej. Całą operację umie już wykonać z zamkniętymi oczami.

– Wszyscy musieli się zatrzymać, żeby na nas poczekać. Aż mi głupio było, ale taką mamy zasadę, że jak jednej osobie coś się dzieje, to reszta staje i czeka. Dlatego podróż z Łodzi do Warszawy zabiera nam 3,5 godziny – opowiada Emi. – A, właśnie dostaliśmy wiadomość od kolegi, który pojechał na zlot maluchów do Czech, że wóz mu się rozsypał. Zbieramy teraz części dla niego. Jedna osoba pojedzie mu je zawieźć.

Maciej, jadąc swoim fiatem nad Balaton, musiał się zatrzymać pięć razy, żeby regulować aparat zapłonowy. Nie najlepiej skończyła się też jego spontaniczna podróż nad morze. – Znajomi zadzwonili w piątek wieczorem, no to wskoczyłem w fiata i jazda. Pierwszy przystanek na MOP-ie pod Włocławkiem, 100 kilometrów od Łodzi. Wracam z łazienki, próbuję odpalić – nic. Nie wiem, o co chodzi. Zaczęłam rozbierać wszystko. Nikt nie podszedł, nawet nie zaproponował pomocy, tylko słyszałam komentary: „O, maluszek! Co, zepsuł się? Ha ha!”.

Okazało się, że wysiadła cewka zapłonowa. Nie dzwoniłem po znajomych, bo nie chciałem im robić kłopotu. Ale po ośmiu godzinach się poplakalem. Nie wiedziałem, co zrobić. W końcu odezwał się ktoś na facebookowej grupie. Jechał 100 kilometrów w dwie strony, żeby przywieźć mi jedną część. Ruszyłem z tego MOP-a po 11 godzinach.

Społeczność maluchowa wspiera się, jak może, w nierównej walce z kilkudziesięcioletnimi silnikami.

– Mamy w grupie takich, co odstawiają malucha do mechanika od razu, jak coś się stanie. Ja staram się to tępić – mówi Maciej. – To nie jest pasja, tylko lansowanie się w starym aucie. Prawdziwy fan powinien wszystko pod maską zrobić sam, a nie wykupywać ubezpieczenie na 400 kilometrów holowania. Ja holowania nie mam wykupionego wcale – zapewnia.

Fani podkreślają, że silnikowe przygody to część uroku fiacika.

Marcin, mąż Patrycji, opowiada: – Na co dzień to jeżdżę dżipem. A podróż maluchem to jest dla mnie święto. Czysty relaks. Cały świat zwalnia. Człowiek się wycisza. Nie myślisz o tym, co masz do zrobienia.

PS Pinky Emi i Maciej przejechał cały Rajd Koguta. Obyło się bez awarii. ●

*Takich samochodów
na podwórku się nie trzyma!*

Takie „bezpieczeństwo” już mieliśmy

Iwasiów



W ostatnich dniach dużo jeżdżę, więc kwateruję w hotelach, skazana na wychylone do mnie z centralnej ściany telewizory. Im lepszy hotel, tym większy odbiornik. Można nie skorzystać, ale kusi. Włączam z ciekawości i przymusu (zwykle nie ma innych kanałów) rządowe media i dowiaduję się, jakim strachem karmią w tych abonamentowo-dotacyjnych stolówkach. W menu głównym – bezustanne ostrzeżenia przed nawałą obcych. Media powtarzają, że tamci chcą nas najeżdżać, a wśród nas nie brakuje kolaborantów, nastawionych na własne kariery i zyski. „Ochronimy was przed nimi z Bożą i waszą pomocą” – pompują przekaz z ekranu i z gazet. Pokazują twarze wdzięcznych matek i ojców na zmianę z głowami zdrajców. „Zbudujemy wielką tarczę nad naszą wyjątkową ojczyzną” – sączą. Bądźcie posłuszni, nie zadawajcie pytań o dotacje, granty i spółki.

Pisowski rząd uwielbia słowo „bezpieczeństwo”. Można wręcz rzec, że to jeden z fetyszy tej formacji, łączący konserwatystów z neoliberalami. Rozciągliwy instrument nadzoru, wszechpojęcie, w imię którego stawiają zasieki i mury graniczne, manipulują opinią publiczną, napuszczając jednych ludzi na innych. Ostatnio, strasząc, proponują referendum w sprawie relokacji migrantów. Jak sobie wyobrażają bezpieczny świat? Skrajnie. Z jednej strony chcieliby Polski podporządkowanej ich obsesjom, ksenofobicznie zamkniętej, ogrodzonej i posegregowanej, a z drugiej kłiwie religijnej, opartej na ideałach polskiej, świętej rodziny. Ich wymarzone stadło mieszkające powinno w jakimś schludnym domku z odpowiednio gęstymi firankami, kupionym najpewniej w programie „wszelki plus idzie na nasze konto”, na warunkach oszukańczo preferencyjnych. Firanki są

obowiązkowe, bo wara od tego, co się dzieje wewnątrz. Biją nie biją, byle glosowali odpowiednio.

Takie szczęśliwe państwo to my już tu mieliśmy. Jego idee wcielały budzące grozę organy bezpieczeństwa publicznego, uprawnione do prześladowania, torturowania, przetrzymywania, zabijania. Wykonujące speczadania ku chwale socjalistycznej ojczyzny. Wynajdujące szpiegów, homoseksualistów i nieprawomyślnych, choć w zgodzie z epoką trzeba by mówić o nielewomyślnych.

W tej nowej-starej, grającej na egoizmach i lękach koncepcji zarządzania państwem kobiety mają się czego bać. Nasz strach jest im na rękę, ma nas złamać, skłonić do podporządkowania. Wszyscy mamy się bać wszechobecnych obcych, idących do naszych bram, mieszkających wśród nas, a nawet w nas. Kobiety mają dosłownie wcielać, brać w swoje ciała, wszczepiać sobie jak implanty fasadowe „wartości”, by mogli je, pomieszane z naszą krwią, sprzedawać swym zwolennikom. Domagają się od nas „prawdziwej kobiecości”, dopełnienia dla „prawdziwej męskości”. Naszej, katolickiej, „czystej”. Handlują nami, by zasiadać w spółkach. To jest handel, w tabelę kosztów wpisali kobiety-inkubatory i zakaz aborcji. Dorzucają parę stów, licząc na wdzięczność i zaślepienie. Tolerują czarny rynek pomocowy, bo wiedzą, że nie pozamykają nas wszystkich. Wymieniają nas za władzę i zasoby. W tym handlu na coraz większą skalę biorą udział pracownicy zdrowia. Lekarki i lekarze, dyrektorki i dyrektorzy szpitali, właścicielki i właściciele prywatnych klinik – nie udawajcie, że po prostu wykonujecie swój zawód. Chcący lub niechcący, co nie ma znaczenia, bierzecie w tym udział i tylko mój wrodzony takt (a może i strach, bo przecież bywam pacjentką) każe mi zawiesić nazywanie wprost tego, kim się stajecie, nie udzielając pomocy, ale też milcząc, gdy wiedza medyczna zostaje pokonana, wymazana w politycznej ofensywie. Przez klauzule dla niepoznaki nazywane sumieniem. Przez wyceny procedur. Przez oportunizm. W imię własnego i własnych rodzin dobrostanu powyżej średniej krajowej.

Strategia kameleona służy tylko tam, gdzie wymyśliła ją natura.

W społeczeństwie działa do czasu. Przystosowani i strachliwi wbrew absurdowi narzucanych zasad – stają się łatwym celem. Widać ich bardziej, nie mniej. To właśnie dzieje się teraz, gdy minister zdrowia umywa ręce, własne i kolegów, zapowiadając rozliczenie błędów w sztuce. Tłumaczenie przed sądem, że błędy lekarskie są wypadkową norm prawnych, zadziała lub nie. Przede wszystkim zaś – jeśli system prowadzi do śmierci, warto się przyłączyć do protestów, by go zmienić.

O rodzeniu dzieci można opowiadać na różne sposoby, ale nigdy nie zniwelujemy faktu, że to proces biologiczny i powinien być przez medycynę traktowany jako taki. W salach szpitalnych potrzebna jest wiedza, nie patronaty świętych. Kobiectwo zaś

nazywa się prorodzinnym, a jest płodocentrycznym. Używając wszelkich środków, udoskonala aparaturę do wywoływania sepsy. I nie kryje się z pogardą wobec kobiet, narażanych na śmierć. Pozoruje troskę o bezpieczeństwo, będąc krajem niebezpiecznego fanatyzmu.

Na protestowym, szczecińskim placu Solidarności, słuchając wystąpień kobiet zaangażowanych w walkę o prawa (byli z nami jedna ginekolożka, jeden ginekolog, kilka położnych), myślę o skali naszej samoorganizacji i samopomocy, ale też o bezustannym uczeniu się zasad interpretacji prawa i nabywaniu wiedzy o procedurach okołoporodowych. Nie chcę zastępować żadnej osoby, która z racji swej profesji powinna dysponować dobrym roz-

Ich wymarzone stadło mieszkające powinno w jakimś schludnym domku z odpowiednio gęstymi firankami, kupionym najpewniej w programie „wszelki plus idzie na nasze konto”, na warunkach oszukańczo preferencyjnych

niezbędne jest realne bezpieczeństwo. Tym razem to odpowiednie słowo. Nie wiem, czy znam wiele stanów, momentów tak przemożnych i zarazem tak wydających nas na łaskę i niełaskę innych osób, jak chwila, gdy zgłaszamy się na oddział porodowy. Nie po cierpieniu, martyrologii macierzyńskiej, uświęcenie czy cokolwiek innego, lecz by znaleźć się pod opieką. Choć lata walki o zmiany obyczajów szpitalnych doprowadziły do tego, że rodzącej mogą towarzyszyć bliscy, biologiczny i medyczny wir czyni z nas uciążliwe, zagrożone śmiercią ciała.

W tym stanie rzeczy państwo Polska samo w sobie jest niebezpieczne, choć działa na paliwie straszenia nas wymyślanymi zagrożeniami. Realnie zabija nas, stosując w tym celu ustawy, rozporządzenia, przepisy, budżety, propagandę, groźby. Szyderczo

poznaniem współczesnej medycyny czy zakresu legalności jej stosowania. Nie interesują mnie też niczyje delikatne sumienia, sprowadzające na nas śmierć. Nie wypowiem żadnego minimalistycznego postulatów, bo zmienić w podejściu do zdrowia kobiet musi się wszystko. Oczywiście, że mam dość i nie zgadzam się na opłacanie strachem i żalobą niczyjego tłustego dobrostanu. Nie zapomnimy i nie odpuścimy – tyle mogą zadeklarować. I niech nikt, kto nie zrobił wszystkiego, co mógł, nie czuje się zwolniony z odpowiedzialności.

Inga Iwasiów

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK & RAFAŁ SKARŻYCKI



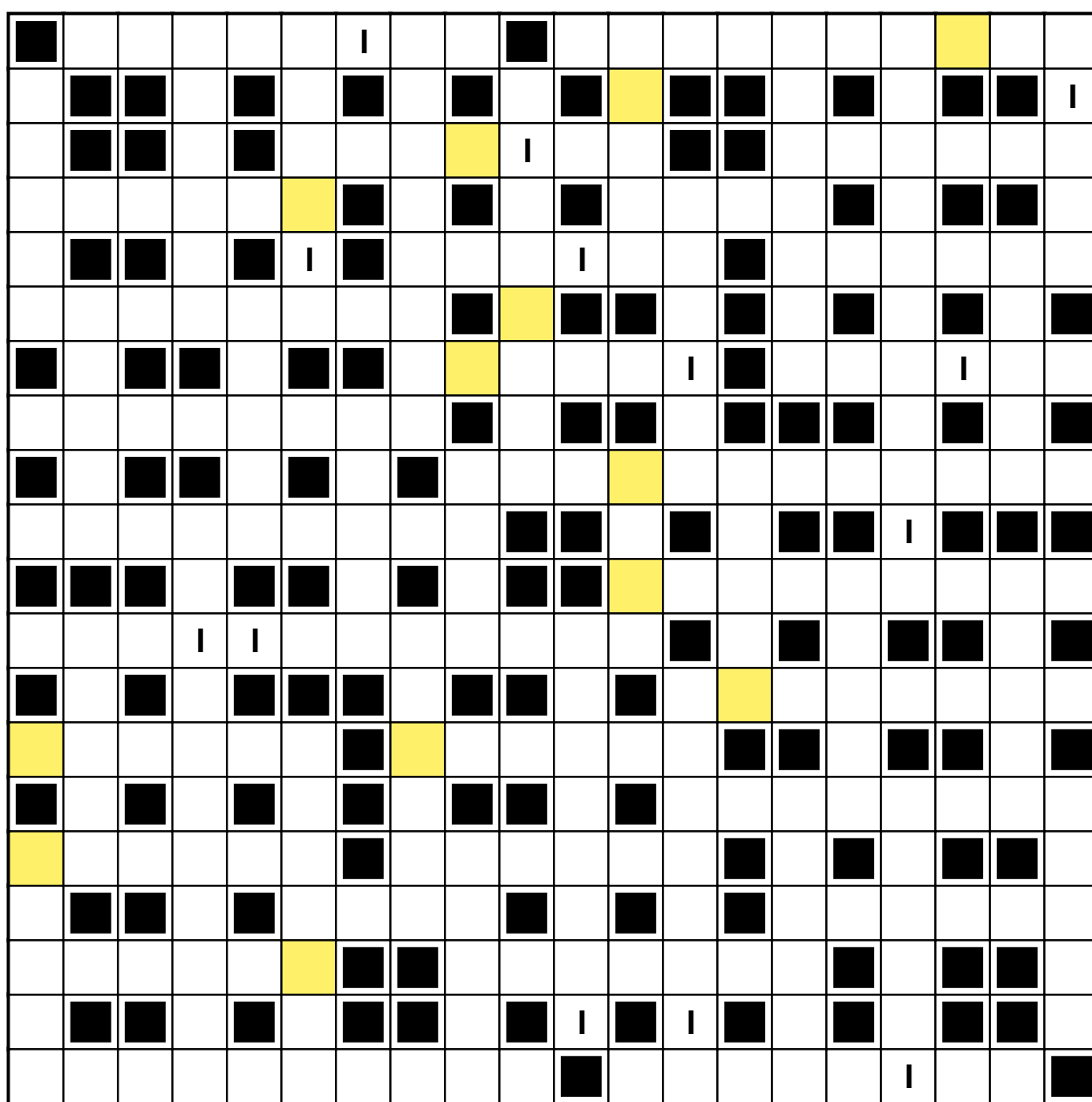
WAŻNE, ŻE
LUDZIE BARDZIEJ
INTERESUJĄ SIĘ
TYM NIŻ NAMI.

jolekka

56

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery I. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- autochton, lokals
- bezładna materia, z której ukształtował się kosmos (na początku był ...)
- bimber (z miesiącem w nazwie)
- bohaterka piosenki, w której „dane nam było słońca zaćmienie”
- bryła o okrągłej podstawie i spiczastym wierzchołku
- cofanie się wojska
- czarujący kocur z serialu „Siedem życzeń”
- „... czystego rozumu”, dzieło Immanuela Kanta
- dentystyczna lub... metra
- „Dobre ... pana ojca”, piosenka Jacka Kaczmarskiego
- dobry znajomy baryły
- duży wakacyjny festiwal muzyczny na północ od Gdyni
- Ernst & ..., koncern świadczący usługi consultingowe
- film z Sharon Stone w roli pisarki Catherine
- greckie rodzinny
- i mądry głupi, gdy go ... złupi (przysłowie)
- ileś cali do seriali
- imię detektywa, który rozwiązał zagadkę pięciu pestek pomarańczy
- imię, że do „rany” przylóż
- Indira, dwukrotna premier Indii
- „... kajdaniarski” Ludwika Waryńskiego
- kiedy pół stada pod chmurką śniada
- kraj past, polent, pizz
- „Łapię ... ulotne jak ulotka, ulotne ... łapię jak fotka”, w piosence Paktofoniki
- maglowana przez ankietera
- motocykle ...-Davidson
- najsilniejsza karta z serduszkami



- nazywany miastem Mozarta (nie Wiedeń)
- oferowane na pchlim targu
- opyli buchnięte
- ... płamista, płaz ogoniasty
- potocznie o miłośnikach nordic walkingu
- potocznie o samochodzie koncertu z Monachium
- powieść, w której występuje Józwa Butrym zwany Beznogim
- przepływa przez Dortmund, uchodzi do Renu
- puste po wylusowaniu nasion grochu
- ręczny karabin maszynowy
- sjesta przedszkolaków
- substancje wywołujące uczulenie
- system rurociągów łączący Syberię z Europą Środkową
- szarmancki w każdym calu
- szata kojarząca się z Temidą
- sztuka walki, którą ćwiczyli Morfeusz i Neo („Matrix”)

- „... to jest poezja rumu i koniaku”
- truchtanko dla zdrowotności
- tu polecą piana na vana
- tworzywo sztuczne na powłokę patelni
- w „Makbecie”: kraj, którym władał król Duncan
- według Józefa Tischnera są trzy
- „Wenus z ...”, akt Tycjana
- wieś w powiecie kieleckim kojarzona z dębem Bartkiem
- ... Wilska, bohaterka serialu „Ranczo”
- wychowawcza – bardziej lajtowa niż inne
- wyraz lub zwrot przejęty z czeszczyzny
- zabawa, podczas której Zorro zatańczy z pierrotem
- zglębia wiedzę religijną
- Złoty ..., marka słowackiego piwa
- zwiąja się, gdy się zawinie

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Praca dorywcza.

Rzędami: przelom, oberżyna, Andora, snajper, gracz, izbica, meble, pingwin, Amos, Eurowizja, Gahan, arlekin, ściema, geolog, Cinquecento, pseudokibic, Harlan, statyw, art déco, wrota, przeróbka, Adso, SIM-lock, debel, Zodiak, Lucek, abnegat, abażur, bystrzak, dźwięki.

Kolumnami: Egipt, ranking, surferzy, abonent, łapówka, thriller, nagrody, marina, Wyborcza, Moluki, źdźbło, białaczka, Szkoci, ice tea, Agamemnon, dzieża, Queens, Białoruś, oskard, Czechow, rozmówki, Rymanów, monolit, naklejka, archaik, wojny

Miej oko na jolekka

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ



Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

Redaktor prowadzący: Ariadna Machowska. **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Mariusz Burchart (red. naczelny), Piotr Gluchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyfko, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wójcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Jacek Konarowski. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafat Szczepankowski. **Korekta:** Klaudia Smulska. **Adres redakcji:** ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37, e-mail: duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.